

Andrzej Kumor



## Felietony mniej więcej aktualne

Publikowane w "Gońcu"

*wydano w Mississaudze w maju 2012*



## Cul-de-sac

Każdy z nas bezwiednie chodzi po wydeptanych szlakach; wchodzimy na utarte ścieżki, na których ustawiamy klocki życia.

Ponieważ nasza kultura odeszła od eschatologii chrześcijańskiej, dzisiaj spędzamy czas na trzech głównych drogach, często przeplecionych ze sobą.

Pierwszy szlak to budowa życia na rusztowaniach cudzych oczu; od czasów piaskownicy przeglądamy się w lusterkach innych ludzi, chwalimy lepszymi zabawkami, silniejszym tatusiem, rowerkiem, który dostaliśmy pierwsi. Chcemy mieć rzeczy lepsze NIŻ ONI mają, a przynajmniej podobne; chcemy być jak oni, albo lepsi od nich tak, aby mogli nam zazdrościć. Oczekujemy zazdrości, bo ona karmi nas samych; oznacza, że mamy lepsze miejsce i do czegoś doszliśmy.

Mechanizm ten działa od momentu, gdy pierwszy raz postawimy kroki obok kołyski, a trwa czasem do grobowej deski "Konkurujemy" z innymi (zazwyczaj tymi na wyciągnięcie ręki, w obrębie grupy czy sąsiedztwa) na posiadany majątek, dom (domy), samochód (samochody), wakacje w egzotycznych miejscach (nawet jeśli z natury jesteśmy domatorami) i inne rzeczy. Konkurujemy - myśląc cały czas o tym, jak oni nas widzą, co sądzą, czy uważają, że jesteśmy lepsi, czy widzą to wszystko co posiadamy, czy nam zazdroszą (bo przecież muszą zazdrościć, wszak my - innym, też zazdrościmy). To zazdrość zmusza nas do kupowania jeszcze bardziej luksusowych bibelotów, posiadania piękniejszych kobiet, majątniejszych i ustosunkowanych mężczyzn... Z biegiem czasu ambicje przenosimy na dzieci - chwalimy się nimi, że piękne i wykształcone, że odnoszą sukcesy, mają superkariery...

Drugi gościniec otwiera się przed nami, kiedy przekonamy się, że celem życia jest eskalacja doznań. Od tych bardzo podstawowych, w rodzaju wyszukanego obżarstwa czy wysublimowanego seksu, kiedy to docieramy do najsmaczniejszych frykasów i zstępujemy na coraz głębsze poziomy erotyki, chodząc po zakazanych ogrodach rzadko dotykanych kwiatów... Aż po te mocne wrażenia blitz-istnienia, kiedy uzależnieni, nie potrafimy się uwolnić od potrzeby wspinania na wyższe szczyty, skakania w coraz bardziej przepastne przepaści, zapuszczania w niedostępne ostępy, wysileni do bezustannego sprawdzania siebie w dziesiątkach ekstremów; od akrobacji na deskorolce po najemną służbę wojskową. Niebezpieczeństwa, codzienne kuszenie losu, ostrzenie brzytwy nicią własnego życia, wszystko to daje nam poczucie spełnienia, wyjątkowości, wynosi ponad tłumy zwykłych śmiertelników, którzy uwiązani kieratem spraw codziennych "zazdroszą nam" (muszą nam przecież zazdrościć...) naszych wyjątkowych wyczynów, heroicznych zmagania podejmowanych w imię...

W imię czego? Silnych przeżyć, ekstremalnych doświadczeń... gdy raz dajemy się łaskotać absyntowej wróżce, innym razem podróżujemy na pastelowych skrzydłach LSD, a kiedy indziej spinamy się w drganiach wielokrotnych orgazmów; gdy jeździmy po końcach świata, by spoglądać na cudowne zachody słońca, na żywo obserwować rodzące się wieloryby czy podglądać dzieci Papuasów pod wodospadem. W tym wszystkim chodzi tylko o "ja", "dla mnie", "ze mną", "przeze mnie"; o jedno wielkie pasmo masujących ego coraz bardziej intensywnych doznań. Tak, do czasu aż coś w nas lub pod nami nie pęknie...

Trzecia szosa życia nakazuje budowanie tożsamości i określenie własnej wartości w oparciu o karierę, zawodowe spełnienie na drabinie korporacji lub przedsiębiorstwa. Temu jesteśmy w stanie oddać przyzwoitość; poświęcić rodzinę, przyjaźnie...

W produkcji, w finansach, innym razem w polityce czy nauce - wydaje się nam, że jesteśmy niezastąpieni, jak Prometeusz. Pycha dodaje nam skrzydeł, wznosimy się na szczyty hierarchii, stajemy nad innymi; stąpamy w gronie ludzi, których decyzje niosą radość lub wyciskają pot i łzy z milionów; którzy są w stanie pchnąć bombowce w dowolny rejon globu, zmienić bieg ludzkich rzek, powstrzymać wojny.

Wszystkie te drogi - nierzadko nierozłącznie ze sobą splecione, kończą się w obliczu prostych faktów - cierpienia, śmierci, przemijania i zniedołężnienia.

Wszystkie te konstrukcje okazują się papierowe. Kiedy stajemy samotnie nad gliną własnego grobu, zaczynamy się zastanawiać, co ma sens, co przegraliśmy; czy robiliśmy to, co było warto? Czy nasze życie było w jakikolwiek sposób lepsze od żywota starej babiny, która w trudach odchowala czwórkę dzieci, czy lepiej przeżyliśmy swój czas niż zniszczony prosty robotnik o poranej twarzy, uczciwie trzymający się kilku przykazań?

Co się liczy? Co robić, by nie przegrać?

Proste, wystarczy wrócić do Źródła.

## **Czy mamy ustąpić miejsca?**

Premier Polski, który stwierdza, że państwu najbardziej opłaca się "rodzina bezdzietna"; prezydent, który uznaje, że starzenie się społeczeństwa nie musi być wcale złe, minister rządu polskiego, która pomimo całkowitej utraty wiarygodności i udowodnienia ewidentnego kłamstwa publicznego nie podaje się do dymisji; dorzućmy do tego rugowanie nauczania historii z programów szkolnych, paraliż instytucji w dziedzinie bezpieczeństwa państwowego, wojnę propagandową przeciwko organizacjom i ugrupowaniom usiłującym formułować interes narodowy czy odbudowywać tożsamość Polaków.

Wszystko to układa się w złowrogą całość, w plan wyniszczenia Polski" za sprawą którego ten bogaty i strategicznie usytuowany kraj sprowadzony zostanie do roli tranzytowej prowincji z taną siłą roboczą.

Jeśli dodać do tego obserwację, że niemieckie inwestycje realizowane są prawie wyłącznie na terenach niegdyś należących do Niemiec, jeśli przypomnieć, że dzietność Polek należy do najniższych na świecie, a kraj objęła fala zarobkowych ucieczek, jaśniejszy stanie się rozmiar katastrofy.

Oczywiście wszystko zależy od punktu widzenia. Jeśli przyjmiemy, że Polacy nie mają ochoty, aby dzisiaj tworzyć niezależny ośrodek polityczny; jeśli przyjmiemy, że pogodzili się z rezultatami zadanych im klęsk, jeśli uznamy, że polska gospodarka ma dzisiaj więcej do ugrania jako tender do niemieckiej lokomotywy przemysłowej, a Polska podmiotowość polityczna w dzisiejszej Europie nie ma sensu, no to być może pogodzimy się z twierdzeniem, że Polacy powinni ustąpić miejsca i oddać w pacht kraj, w którym – tak na dobrą sprawę – i tak nie potrafią się rządzić.

Wtedy rzeczywiście polityka, że im mniej Polaków, tym lepiej, wyda się rozsądna; wtedy rzeczywiście nauka historii musi być ograniczona. W takim wypadku głupstwem będzie cała nowożytna historia Państwa Polskiego – te wszystkie wolnościowe zrywy, wojny obronne, ofiary całopalne; głupstwem będzie patriotyzm poprzednich pokoleń; patriotyzm, którego głównym celem

była budowa silnego państwa. Wówczas uznać musimy politykę II Rzeczypospolitej za aberrację wynikającą z niezrozumienia roli i miejsca wyznaczonych Polakom w tym miejscu Europy i świata. Bardziej prawdopodobne jest jednak inna wersja, że to dzisiejsi Polacy nie rozumieją do końca własnego przeznaczenia, a jeśli nawet pojmują, to się go boją, jeśli zaś podejmują jakieś działania, to nieskutecznie i bez głowy.

Polacy są, jacy są, nie ma innych, więc może ci, jacy są, w swej zdecydowanej większości nie potrzebują odrębnego państwa, być może wystarczy im ochrona prawna "obcych dworów" i wierna na nich służba? Nie można wykluczyć takiej ewentualności.

Pomimo różnych inicjatyw odwołujących się do "starej Polski" – dumnego, wolnego kraju pracowitych i gospodarnych ludzi – Polski, która nie do końca jeszcze zgasła – Polacy w kolejnych wyborach potulnie oddają władzę nowoczesnym kolonizatorom – kompradorom pilnującym w Polsce interesów instytucji międzynarodowych i państw obcych.

Podstawą narodu jest rodzina. Bez Polaków nie ma Polski. Mówienie o "obciążeniu" państwa z tytułu nowych urodzeń, a jednocześnie forsowanie podniesienia wieku emerytalnego z uwagi na starzenie się społeczeństwa to idiotyzm jakich mało.

Każdy obywatel to netto zysk dla państwa i społeczeństwa.

Po pierwsze, jako podatnik – im lepiej wykształcony i bardziej zamożny – tym większy jego wkład do wspólnej kasy. Każde nowe dziecko to również otwarcie kolejnej karty narodowych osiągnięć – to dziecko za moment stanie się wynalazcą, świetnym menedżerem, naukowcem, dowódcą wojskowym, przywódcą społecznym, charyzmatycznym politykiem czy duchownym. Każde nowe dziecko to otwarcie nowego cudownego rozdziału historii, rozpoczęcie drogi, która w olbrzymiej większości przypadków zaowocuje większym dobrem wspólnym.

Nawet najlepiej zorganizowane i potężne narody w przypadku kłopotów demograficznych popadają w tarapaty.

Dlatego polityka prorodzinna powinna być jedną z głównych inwestycji państwowych, porównywalną z inwestycjami w obronność czy zapewnieniem dostępu do energii i surowców.

Nam wszystkim BARDZO opłaca się, gdy ludzie naszego języka i kultury mają dużo dzieci.

Jeśli przeciwko takiej polityce występują władze danego narodu, to znaczy, że to zdrajcy – nie ma innego tłumaczenia!

Zdrajcy wizji niepodległej, wolnej Polski dającej Polakom silne państwo, ochronę interesów gospodarczych i ich sposobu życia.

Jest jasne, że państwo nie powinno tworzyć miejsc pracy – od tego są ludzie, przedsiębiorcy, państwo nie powinno im jednak tego utrudniać, gorsetem złodziejskich przepisów. Oczywiście, że państwo nie powinno mieć dzieci na utrzymaniu, od tego są rodzice, jednak państwo powinno tym rodzicom pozostawić w kieszeni to, co zarobią, by mogli to dobrze robić – rodzina z czworgiem i więcej dziećmi nie powinna w ogóle płacić podatków dochodowych.

Dziatność to podstawa, bez której nie można myśleć o silnym narodzie i silnym państwie; ci, którzy tę podstawę niszczą, to ludzie aktywnie działający na rzecz wizji skolonizowanej 15-milionowej Polski.

*Można ich jeszcze powstrzymać!*



## W imię czego?



21 marca, w 7. rocznicę ustanowienia World Down Syndrome Day, dzień ten będzie obchodzony po raz pierwszy pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jest więc szansa na to, by życie ludzi z zespołem Downa, czyli trisomią 21, czy też mongolizmem, znalazło się na moment w polu uwagi. Jest to grupa ludzi, wobec których dzisiaj najczęściej stosuje się eugenikę, zabijając w łonie matki. Z dostępnych danych wynika, że w roku 2002 usunięto 93 proc. płodów, u których podejrzewano zespół Downa.

Dlaczego? Brutalnie mówiąc, w zinfantylizowanym świecie lalki Barbie i Kena, nikt nie chce mieć “popsutych” dzieci. Chcemy mieć potomstwo ładne, słodkie i na gwarancji.

Tak przez minione dekady wbiła nam w mózgi nasza konsumpcyjna cywilizacja, która “naukowo” tłumaczy, że jesteśmy w stanie zrobić prawie wszystko; jesteśmy w stanie “poprawić” stworzenie i uszyć lepszego Frankensteina. Czasami to “poprawianie” oznacza zabijanie, no, ale zawsze są jakieś koszty.

W imię “lepszego” świata mordowali bolszewicy, w imię “lepszego” świata hitlerowcy wysyłali Żydów do gazu i w imię “lepszego” świata zabija się w łonie matek ludzi niepełnosprawnych.

Jedni robią to brutalnie, na chłama, zasypują trupy wapnem w dołach, inni “technicznie” w gumowych rękawicach, jeszcze inni wkładają ssawkę do macicy.

Za tym wszystkim stoi jednak taka sama idea filozoficzna – uzurpowanie sobie prawa decydowania o życiu i śmierci i odsunięcie wartości cywilizacji chrześcijańskiej za zbędny balast; wiara, że jesteśmy w stanie przemodelować i przeprogramować człowieka, aby mógł realizować swój “pełny potencjał”.

Tej realizacji raz stają na przeszkodzie “wsteczne” klasy, innym razem rasy podrzędne czy “niepełnowartościowi ludzie”. W tej manierze intelektualnej bierze początek przekonanie, że ludzie niepełnosprawni nie powinni się rodzić, bo są “niedorobieni”; są pomyłką, nieudanym egzemplarzem; “są niepotrzebni”, bo będą “stanowiąc obciążenie dla społeczeństwa i rodziny”.

Jest to rzecz szczególnie okrutna w przypadku ludzi z zespołem Downa, osób na co dzień szczęśliwych, uroczych, z ciekawym podejściem do życia i rzeczy; napełniających swą obecnością wszystkich dookoła.

Kłamstwo, które leży u podstaw eugenicznego myślenia, to twierdzenie, że o życiu wiemy wszystko; wiemy, skąd się wzięliśmy, dokąd idziemy po śmierci i jaki sens ma nasze istnienie.

Tymczasem, guzik prawda, bo nic nie wiemy. Tajemnica naszej egzystencji – pozostaje właśnie tym – tajemnicą.

Choć w najdoskonalszy sposób rozjaśnia ją chrześcijaństwo – dzisiaj powszechnie je odrzucamy. A gdy to uczynimy, pozostaje udawać i robić mądre miny. Te zazwyczaj rzedną jednak w obliczu życiowych przełomów; śmierci, cierpienia, krzywdy. Są sytuacje, w których nie jesteśmy w stanie dłużej się oszukiwać i musimy stanąć twarzą w twarz egzystencjalnej prawdy o życiu. Nie da się wówczas zgrywać, nie da się odwrócić głowy. Życie zostało nam dane. Istnienie jest darem – prezentem na dzień poczęcia. Nikt z nas nie wie, dlaczego w ogóle zaistniał; dlaczego akurat w tym miejscu, w tym czasie; nie wie, skąd przyszedł na świat, i nie wie, dokąd i kiedy odejdzie.

Nie znamy przyszłości i musimy nadawać sens teraźniejszości. Nie idziemy całkiem po omacku. Mamy wiele przesłanek – mamy rozum, mamy tradycję przekazu, mamy doświadczenie własnego życia. No i oczywiście – last but not least – mamy wiarę.

Nie jesteśmy w stanie rozplanować życia. Tego nie da się zrobić, zbyt wiele rzeczy pozostaje poza kontrolą. Ale też nie mamy po co planować – przecież wiemy, jak żyć; wiemy, jak reagować na wszystko, co się zdarza. Znamy hierarchię wartości. A skoro tak, to nic nie może nas zaskoczyć, skoro znamy wartości, to wiemy, że nie my jesteśmy miarą rzeczy.

Dlatego, kiedy na świat przychodzi nowe życie, powinniśmy je przyjąć – jak nas przyjęto. Jakże wielką bezczelnością jest przypisywanie sobie prawa do decydowania o tym, kogo tu wpuścić.

Każdy z nas jest inny, jest wyjątkowy, każdy ma Bożą iskrę. Zabijanie bezbronnych w imię budowania lepszego życia to jedna z największych iluzji szatańskich, największa głupota ludzka.

\*\*\*

Z Julką znamy się od urodzenia – niespełna 7 lat temu banalnymi nożyczkami przeciąłem jej pępowinę i wzięłem na ręce. Od tamtej chwili przeżyliśmy już ze sobą bardzo wiele. Jest wielkim łobuzem, który doskonale wie, jak rozbroić złość jednym uśmiechem. Mimo że jeszcze nie potrafi dobrze mówić, rozumiemy się bez słów.

Bez słowa nauczyła mnie tysiąca słów o miłości, zmusiła do opanowania w obliczu śmierci, wypełniła życiem abstrakcyjne wartości. Pokazała, co naprawdę się liczy, a co jest tylko podmalowanym truchłem.

Julka ma zespół Downa.

Większość takich Julek ginie dzisiaj z rąk ludzi, którzy złożyli przysięgę, że będą każde życie ratować do końca. Zabija je strach i głupota tych, którzy odmawiają im miejsca na świecie – miejsca wśród nas – mimo że sami z tego daru korzystają.  
W imię czego?

\*\*\*

## **UFO nad Smoleńskiem**

Jedno z piękniejszych przesłań cywilizacyjnych Zachodu streszcza się w powiedzeniu "ora et labora". Potrzebujemy tak modlitwy, jak i pracy. Jedno bez drugiego kuleje, jedno bez drugiego wynaturza się.

Dlatego tak bardzo podoba mi się iście "benedyktyńskie" wezwanie do działania zawarte w powiedzeniu o. Tadeusza Rydzyka; módlmy się tak, jakby wszystko zależało od Pana Boga, a pracujmy tak, jakby wszystko zależało od nas. Przy okazji przypomniał mi się stary dowcip żydowski, kiedy to Icek modli się żarliwie o wygraną na loterii; w końcu Pan Bóg nie wytrzymuje i woła z nieba: "Icek, daj mi szansę, kup los".

Modlitwa to wspaniała sprawa – powinniśmy codziennie nią zaczynać i nią kończyć, modlitwa to refleksja i medytacja, to porządkowanie świata słowem, ale Bóg wezwał nas do działania, dał świat, w którym mamy pracować na Jego chwałę – mamy walczyć ze złem. Realizacja wartości chrześcijańskich to przeciwieństwo bierności. Zostaliśmy posłani i mamy świadczyć czynem.

Piszę o tym, bo cierpnę, gdy słyszę wezwania kółek patriotycznych, by skupić się wyłącznie na modlitewnej krucjacie, mózg mi się marszczy, gdy widzę, jak wiele osób zdaje się na tym poprzestawać i rozgrzeszać z bierności i bezczynności w obliczu wrogów kraju.

Modlitwa powinna być w naszych czynach. Osoby, które troskę polityczną, starania o lepsze jutro chciałyby sprowadzić do wygodnego odmawiania pacierzy, są jak ten Icek, który "nie daje Bogu szansy", bo nawet losu nie kupił.

Ani Pan Bóg, ani hetmanka Polski Matka Boża nie podaruje nam kraju na talerzu. Do tego trzeba jeszcze rycerstwa.

Musimy się modlić, by w tym doczesnym działaniu się nie pogubić i duszy nie zatracić, ale modlitwa nie zwalnia z obowiązku skutecznego działania, z kroczenia drogą sprawiedliwości – a zatem również walki o Polskę, dobro naszych rodzin, kraju, o interesy Ojczyzny.

Ponieważ przez wieki naród nasz trwał podbity, pogrążony w traumie powstańczych klęsk, mamy tendencję do mesjanistycznego matrixu, kiedy to rekompensujemy sobie poczucie klęski grzechem pychy – przekonaniem o wybraństwie w oczach Pana Boga.

Tymczasem powinniśmy zrobić rachunek sumienia i uczyć na błędach. Próbował tego Roman Dmowski, próbowało międzywojenne pokolenie polskiej inteligencji, a mimo to pierwiastek religijno-mesjanistyczny po dziś dzień napełnia nas niemocą.

Widać to bez lornetki na przykładzie tragedii smoleńskiej. Powtórzę, co kilka razy już mówiłem; najważniejsze w tym zdarzeniu to dla nas odsłonięcie upiornej słabości państwa polskiego.

Pierwsze, dlatego, że do tego zdarzenia (zamachu czy wypadku – nieważne) w ogóle doszło – to oznacza, że polskie państwo nie było w stanie chronić swej najważniejszej instytucji – urzędu prezydenta.

Drugie, jak państwo to podeszło do wyjaśniania okoliczności zniknięcia Tu-154 z radarów.

Ręce i nogi się uginają – Finis Poloniae!

Dlatego gdy dzisiaj słyszę jakieś karkołomne teorie, rzekomo wyjaśniające okoliczności tych wypadków – jak profesorowie Trznadel czy Dakowski rozwodzą się nad możliwością kagebowskiej podmiarki czy kombinacji operacyjnej, idę się napić wody.

Aby wyjaśnić tragedię smoleńską (o ile to jeszcze możliwe), trzeba najpierw mieć państwo, otrzepać Polskę z pookrągłostołowego układu, wziąć władzę, zorganizować normalne instytucje bezpieczeństwa państwowego, zrekonstruować polski wywiad, siły zbrojne, tchnąć w ludzi wiarę w sens tego kraju, natchnąć młodzież – ideą wielkiego dziedzictwa. To są zadania na dzisiaj. Głędzenie o tym, jak to kagebowskie UFO uprowadziło nam i pomordowało elity, jest typową oznaką racjonalizacji niemocy, niemocy politycznej, militarnej, narodowej.

Tymczasem dorosły człowiek, nawet jeśli opluwany leży w rynsztoku, powinien potrafić twarzą w twarz stanąć wobec tego faktu, a nie przekonywać, że się ułożył, bo mu tak lepiej.

Oczywiście, że odmawianie różańca pomaga, dodaje sił, ale prócz tego potrzebne jest przewyciężenie lenistwa ducha i ciała, konieczne jest, byśmy się łatwo nie rozgrzeszali z nicnierobienia stwierdzeniem – no przecież się modłę.

Kiedyś w peerelu do mdłości doprowadzały mnie różne puste gesty protestu; palenie świeczek w oknach, noszenie oporników czy inne porozumiewawcze mrugnięcia, którymi wyładowywano frustracje; a jednocześnie zero programowego myślenia politycznego i zero koncepcji czy wspólnego działania politycznego.

Wszystko sprowadzało się do nadziei, że ktoś za nas coś dla nas zrobi. No i wreszcie komuniści to zrobili – wzięli sobie banki, przemysł i środki przekazu – a nam pozostała ręka w nocniku.

Podobnie jest dzisiaj. Katastrofa w Smoleńsku pokazała, że polskie państwo jest do bani, bo nie broni interesów Polaków. Tu jest pies pogrzebany i tu trzeba ogromu pracy politycznej, a nie bajek o smoleńskich kosmitach.

Aby działać, trzeba wiedzieć, gdzie się jest. Połowa Polaków tego nie wie. I dlatego warto się o to dla nich pomodlić.

\*\*\*

## **Za mało Kuklińskich, za dużo "internacjonalistów"**

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, łatwiej dostrzec alternatywną drogę, którą krocząc Polska mogła próbować odbudować dawne znaczenie i odzyskać niepodległość.

Bez zbędnego dramatyzowania każdy przyzna, że dzisiejsza pozycja i znaczenie Polski nie odpowiada potencjałowi kraju. Polaków stać na więcej, kiedyś tworzyli – pomimo licznych wad – całkiem poważne państwo zapewniające podmiotowość polityczną narodowi.

Co zatem można było uczynić w Polsce pod koniec 1989 roku, aby:

1. uzyskać większy stopień suwerenności;
2. lepiej wykorzystać szanse, zapewniając rozwój polskiej przedsiębiorczości i poczesne miejsce polskich korporacji wśród europejskich graczy.

Co można było zrobić inaczej? Co można było ugrać? Bardzo wiele!

**Po pierwsze**, dlatego, że sytuacja międzynarodowa była korzystna – osłabione, zataczająca się Jelcynem Rosja i Niemcy zajęte trawieniem dopiero co przyłączonego NRD, dawały Polsce chwilę oddechu.

Należało zatem zacząć od podstaw.



Polska była zniewolona, ponieważ Polakom odebrano własność. Należało tę własność przywrócić, wprowadzając zarazem nowoczesny system finansowy i reformując pieniądź poprzez podpięcie do dolara. Główny element reform polegałby na wprowadzeniu zapisów hipotecznych i umożliwieniu brania kredytu pod hipoteki. W ten sposób, bez zewnętrznego kapitału, Polacy uzyskaliby płynny kapitał na inwestycje.

Uwolniony pieniądź posłużyłby do inwestowania w środki produkcji, bo przy odpowiednim ustawieniu kursowym eksport byłby najbardziej opłacalną formą aktywności gospodarczej. Było to łatwo wykonalne, bo wartość polskiego pieniądza była zaniżona, powolna, systematyczna aprecjacja złotego pozwalałaby na stały wzrost poziomu konsumpcji, ale przy wzroście produkcji eksportowej wykorzystującej modernizowany za uwolnione środki potencjał przemysłowy.

Państwo poprzez rozpisanie pożyczki narodowej uzyskałoby środki do rozbudowy infrastruktury. PRL-owska nie była najgorsza – przede wszystkim kraj produkował dużo energii z uwagi na erwupegowską specjalizację w przemyśle ciężkim. Wystarczyło do tego dodawać 1000 km autostrad i nowoczesnych dróg rocznie, co nie było niemożliwe.

Polska miała idealne położenie do rozwijania produkcji eksportowej tak przemysłowej, jak rolnej ze względu na położenie, wykwalifikowaną i wykształconą siłę roboczą, a przede wszystkim wspomniany zaniżony kurs złotego. To właśnie ten kurs sprawiał, że takie polskie zboże na rynkach trzecich byłoby bezkonkurencyjne.

Reformy te były możliwe, ponieważ społeczeństwo po latach komunizmu było emocjonalnie wstrząśnięte, gotowe do poświęceń. Energia społeczna była olbrzymia, nadzieje również. Ważne więc było, aby:

- a. – odbudować u ludzi poczucie elementarnej sprawiedliwości i potrzebę zadośćuczynienia za krzywdy,
- b. – zapewnić stałą, acz niekoniecznie znaczną poprawę losu, chodzi o upowszechnienie poczucia poprawy losu,
- c. – wyzwolić energię gospodarczą narodu poprzez zniesienie ograniczeń administracyjnych prowadzenia małych i średnich przedsiębiorstw.

Do tego można było – tak jak Polska uczyniła to w roku 1918 – wykorzystać potencjał wiedzy, stosunków i kapitału diaspory na Zachodzie, głównie amerykańskiej Polonii.

- Tak więc uwalnianie kapitału poprzez założenie hipotek – większość nieruchomości w Polsce była "spłacona"; przekształcenie spółdzielni mieszkaniowych i uwłaszczenie lokatorów umożliwiające zaciąganie kredytów pod mieszkanie – przy szerokich zachętach prowadzenia działalności handlowej, produkcyjnej – dałoby ludziom do rąk realne środki bogacenia się, budowy politycznej siły i prężnego państwa.

Do tego dodać trzeba odtworzenie patriotyzmu i uczuć narodowych, szybką modernizację wojska, policji, służb specjalnych i wywiadu – słowem zakrojoną na wielką skalę budowę instytucji państwowych...

Mrzonki? Kto niby miałby to robić?!

Istniała w PRL-u jedna grupa realnej władzy, która mogła spróbować, ale dała tyłka, bo przedłożyła własną kieszeń nad budowę kraju, za który dzieci i wnuki stawiałyby im pomniki.

Byli to oficerowie peerelowskiego wywiadu, Wojskowej Służby Wewnętrznej – ci sami "czekiści", którzy rozkradli Polskę, mogli również uczynić ją wielką.

Świadczy o tym ewolucja aparatu władzy w Rosji, gdzie początkowo miał miejsce ten sam degeneracyjny proces co w Polsce, jednak grupa państwowców-kagebistów zdołała go zastopować, pozamykać i wypędzić internacjonalistycznych oligarchów działających na szkodę Rosji.

Polscy czekiści, choć przez całe życie chodzący na smyczy sowieckiego centrum, gdyby mieli trochę jaj, mogliby się wyemancypować – zamiast przewerbowania na Zachód, zamiast orgii szabru, kosztem demontażu państwa i okradania rodaków, mogli stworzyć patriotyczną juntę (oczywiście nie

nazywając tego w ten sposób), zasłaniając ją pokrywką "demokracji"; mogli nie dopuścić aby kraj został wpisany w rozpiskę obcych wywiadów.

Oni jedni mieli wiedzę i środki.

Reszta nas była jak te dzieci we mgle, bez wystarczającego rozeznania potencjału, szans i zagrożeń.

Można oczywiście pisać całe elaboraty, dlaczego do takiego patriotycznego uniesienia części peerelowskiego establishmentu nie doszło, jedno jest pewne, za mało było w nim Kuklińskich, za dużo "internacjonalistów" przywiezionych czołgami z Moskwy. Ale, jeśli była szansa, to właśnie tam.

\*\*\*

## **Prawda czasu**

Socjalista Hollande prezydentem Francji – wygląda na to, że w całej Europie będziemy mieli nowe rozdanie i nastąpi populistyczna "cofka". Co z niej wyniknie? Kiedyś, gdy na firmamencie polityki USA pojawił się młody Murzyn Obama, jedno z ważniejszych pytań, jakie wtedy zadawano, brzmiało: "Is he against the system?".

We Francji takie pytanie nie pada, bo odpowiedź jest dawno znana; nowy prezydent jest rozpoznaną częścią systemu. Główne zadanie elity politycznej w Europie polega na spacyfikowaniu niezadowolenia społecznego i obronie koncepcji kontynentalnego zjednoczenia w sytuacji pogarszającego się poziomu życia, katastrofy demograficznej i ekspansji kulturowej islamu. Będą więc różne wrzutki i zmyłki.

Aby podołać zadaniu, potrzebni są przywódcy nowego etapu. Europę czekają wstrząsy, dzięki którym mieszkańcy kontynentu zaakceptują "jedynie słuszną drogę". Jaką? Premier Wielkiej Brytanii David Cameron mówi o tym kawa na ławę w udzielonym w środę wywiadzie dla "Daily Mail" – jeśli strefa euro ma odnieść sukces, potrzebny jest jeden rząd. "Nigdzie na świecie jedna waluta nie występuje bez jednego rządu – tłumaczy. – Aby euro miało sens, oznacza dla mnie, że kraje eurostrefy muszą mieć o wiele bardziej skoordynowaną politykę ekonomiczną i jeszcze ściślej skoordynowaną politykę zadłużenia" – tak mówi człowiek, który ponoć jest nieco bardziej eurosceptyczny od francuskich kolegów z klubu. Czasy się jednak zmieniają, pora więc na prawdę nowego etapu.

Co to ma wspólnego z wyborami we Francji czy Grecji? Otóż, wróżąc z fusów, można powiedzieć, że ludzie, odreagowując narzucane im obniżenie poziomu życia, wybiorą rządy obiecujące, że można inaczej, po czym niedługo okaże się, że ta droga prowadzi do chaosu i jeszcze gorszych kłopotów (siłą rzeczy obecna sytuacja jest nie do utrzymania) – dzięki temu "alternatywne" rozwiązania polityczne zostaną skompromitowane i Europejczycy prosić będą na kolanach nasz Komsomoł, by jakiś czierieszwyczajny komitet zrobił z tym bajzlem porządek, na przykład wprowadzając jeden zarząd gospodarczy. Zgodnie z planem, stary porządek musi runąć w czkawkach, musi się poważnie załamać, aby na jego gruzach powstał dwunastogwiazdkowy feniks New Brave Europe. Chodzi więc o to, by tak zaplanować nowy redyk, byśmy pobekując "Odeę do radości", weszli do zagrody z poczuciem ulgi i dobrze spełnionego obowiązku.

Oczywiście każdy etap ma swoje niebezpieczeństwa. Etap wyburzania również. To "niebezpieczeństwo" jest szansą dla nas. Nikłą, bo nikłą, ale zawsze. Jedyna droga ratunku – o ile jeszcze można na nią wkroczyć – to restauracja starych wartości, powrót do chrześcijańskich

korzeni kontynentu i koncepcji Europy ojczyzn – braterstwo narodów na bazie jednej kultury starej Europy, rezygnacja z realizowanej po bolszewicku integracji politycznej i ekonomicznej. Aby tak się stało, musiałyby jednak istnieć kontrolita. A tej ani na salonach, ani na ulicy nie widać.

Europejczycy będą więc wybierać tych, którzy obiecują patiomkinowską wioskę dobrobytu – pod hasłami rozbudowanego państwa opiekuńczego. Ludzie chcą żyć jak dawniej, trzeba im to obiecać. Obecny system finansowy i tak jest nie do utrzymania, potrzebne jest więc stworzenie iluzji, które następnie legną w gruzach, kompromitując "nie nasze idee"; dopiero wówczas przy pomocy wojska, policji zabetonujemy fundamenty nowego porządku, nowego kontynentalnego "ładu". W stolicach świata przebierają już na tę myśl nogami.

Nowa Europa oznaczać będzie kulturowy bolszewizm politycznej poprawności, mało wydajny system etatystycznego zarządzania, dominację silnych korporacji niemieckich nad drobną przedsiębiorczością, regiony zamiast państw, czyli w przypadku Polski, koniec złudzeń i koniec nadziei na podmiotowość polityczną.

Kto kontroluje kredyt, kontroluje wszystko – system wyprodukował kryzys, który teraz w kilku ruchawkach zostanie przezeń "zażegnany". Dzięki prostym ruchom elita zyska przyzwolenie na realizację zjednoczeniowej utopii. Projekt znany był od dawna, a dzisiaj sytuacja jest na tyle opanowana, by można było o nim głośno mówić. Christopher Booker z "The Daily Telegraph" przypomina memorandum brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z 1971. Dokument zatytułowany "Suwerenność i Wspólnota" ("Sovereignty and the Community") został ujawniony po zdjęciu klauzuli tajności. Główna teza głosi: dostrzeżenie właściwej natury europejskiego projektu zajmie Brytyjczykom 30 lat. Gdy jednak już to uczynią, "będzie za późno, by wyjść", a będzie to "największe poddanie brytyjskiej suwerenności w dziejach".

A zatem z Francois Hollande'em czy bez, dziarsko kroczymy świetlistym gościńcem. Taka prawda czasu.

\*\*\*

## **PŁYNIE WISŁA, PŁYNIE PO EUROKRAINIE**

*napisany 15 grudnia 2007*

Debata o niepodległości była jednym z najważniejszych polskich tematów; w końcu przez ostatnie kilkanaście pokoleń do niepodległości nie mieliśmy za dużo szczęścia; albo trzeba było jej w dramatycznych okolicznościach bronić, albo w takichże samych okolicznościach na nią się wybijać.

Dla pokoleń naszych ojców i dziadów (oczywiście prócz kilku rodzimych zdrajców i sprzedawczyków) idea niepodległej Rzeczypospolitej była nadrzędna. Dla niej poświęcało się rodzinę, dzieci i własne życie. Niektórzy gotowi byli dla niej nawet wyrzec się Boga (albo też poprosić, aby trochę przymknął na nich oko).

13 grudnia, wbrew woli większości Europejczyków, w Europie narodzi się państwo - Wspólnota Europejska stanie się Unią Europejską.

Jeśli ktoś usiłował wierzyć w demokrację - teraz już nie powinien mieć złudzeń. Konstytucja europejska, odrzucona w referendum przez narody Europy, wchodzi w życie lekko podmalowana, już bez konieczności poddawania pod referendalny sprawdzian. Euroelita doszła do wniosku, że "lud" nie dorósł i nie zrozumiał "światłej idei", dlatego niczym ulęgałkę ideę tę trzeba "ludowi" wepchnąć przez gardło.

Jest to typowe myślenie bolszewicko-gnastyckie, odmiana besserwiserstwa, tym razem w wydaniu masoneryjno-lewackiej dziatwy. Przypomnę tylko, że podobne myślenie doprowadziło do tzw rewolucji październikowej, kiedy to bolszewicy agitatorzy, będąc w mniejszości, uznali, iż opisany przez Marksa proces trzeba "lekko" pchnąć do przodu - wszak światowa rewolucja miała nastąpić siłą rzeczy, mocą konieczności historycznej, jednak siedząc na kanapie, rewolucjoniści uznali, że naród jest zbyt ciemny i dlatego najpierw należy wziąć władzę, a potem przy pomocy karabinu, elektryczności i gułagu uświadomić ludziom jedynie słuszny kierunek. Eksperyment ten - jak wiadomo - nie do końca się udał, ale model myślenia przetrwał tę klęskę.

Dzisiaj Polacy, którzy jeszcze niedawno tatuowali sobie na sercach orła w koronie, oddają niepodległość bez bicia, godząc się na coś między Księstwem Warszawskim a Generalną Gubernią. Staną się dzięki temu mieszkańcami priwislanskiego kraju, państwa krojonego, uplastycznionego w niemieckiej strefie UE, państwa, w którym byle brukselski urzędnik może nakazać obywatelowi prostować ogórki.

W ten sposób nasza Ojczyzna, kraj, którego mieszkańcy słynęli niegdyś z dumy i zawadiactwa, wpisze się grzecznie w projekt zastępujący narodową tożsamość lojalnościami regionalnymi, co - wedle oficjalnej wersji lansowanej przez pomysłodawców - ma pozwolić na unikanie wojen i doprowadzić do ogólnej harmonii. Tymczasem jesteśmy świadkami całkiem agresywnej polityki dużych narodów w rzekomo równoprawnej federacji. Silne narody nadal są silne, lepiej tylko maskują używanie biczyka.

Projekt nowego europaństwa zdecydowanie wykracza ponad propozycje gospodarczych integrystów i wolnorynkowców, jest to przedsięwzięcie iście rewolucyjne, którego produktem finalnym ma być państwo z prezydentem (przewodniczącym Rady Unii Europejskiej), wybieranym na 2,5 roku, jedną polityką zagraniczną i mrowiem wewnętrznych przepisów, gwarantujących niebotyczną biurokrację od zaraz.

Jednym z argumentów, którymi Polakom reklamowano takiego molocha (oprócz perkalu i paciorków) - miała być możliwość wpływania na europejskie sprawy.

Tymczasem, jak na razie, "wpływanie" idzie raczej w drugą stronę, to znaczy oni wpływają na nas, i to nieźle pstrykając po nosie, flekując nasze "partyzanckie" ciągoty gospodarcze. Wbrew naszym staraniom, kreowana przez masonską elitę nowa Europa odrzuciła wszelkie odniesienia do chrześcijaństwa, które jeszcze kilka wieków temu było podstawą kontynentalnego uniwersalizmu. Odbiera się nam narodową tożsamość, jednocześnie nie dając oparcia w nowej. Zgroza!

Oczywiście, tej zgrozy na razie nie widać, bo zasłaniają ją wspomniane już paciorki, jakie nam się dostały w rezultacie otwarcia rynku pracy w kilku innych europejskich krainach. Dzięki temu, Polacy awansowali do roli białych Murzynów, zapewniając lepiej sytuowanym kolegom z Eurokrainy dopływ taniej i niekrępującej siły roboczej. W czasach, kiedy bandy młodzieżowe od czasu do czasu "palą Paryż", trudno przecenić spokojnego i manualnie uzdolnionego robotnika z Polski.

Co ciekawe, nowa unijna konstytucja (z której usunięto słowo "konstytucja") nie określa granic nowego tworu prawnego, co pozostawia otwartą drogę do inkorporowania kogo bądź, nieokreślone są też zasady wystąpienia z Unii. Możemy więc znaleźć się pod jedną pierzyną z kimś nieumytnym, nie będąc w stanie zrzucić przykrycia. Na razie nikt taką ewentualnością nie zaprzęta sobie głowy, bo trzeba "myśleć pozytywnie". Żaden traktat unijny nie określa procedury wystąpienia danego państwa.

Do tego dochodzi tzw. karta praw obywatelskich, czyli coś na wzór kanadyjskiej karty praw i swobód, służącej od lat za punkt podparcia dla dźwigni (czy też raczej wytrychu), na której lewicowa soldateska podważa zasady cywilizacji Zachodu, realizując antydemokratyczną rewolucję społeczną, bez przyzwolenia większości. To dzięki 'karcie praw i swobód' mamy w Kanadzie demontaż instytucji małżeństwa i kilka innych socjalnych perełek.

A Polska? Cóż Polska, jak w malignie cieszy się z paciorków, przymierza perkal i z miłością zerka na eurobol-szewików. Ach, jacy oni są postępowi...

## **Nie ma siły?**

Polska scena polityczna zawsze była denerwująca (patrzac i sluchajac, wargi same sie zgryzaly), teraz jednak staje sie wprost "psychiczna". Powodem sa dwie wzajemnie sie wykluczajace wizje rządu. Sytuacja przypomina czasy przedrozbiorowe. Patrzac z góry, można by polskich polityków (tych, którym coś tam jeszcze się chce) podzielić na stronnictwo ugodowe i stronnictwo sanacyjne.

"Ugodowcy" uważają, że wyżej kija nie podskoczysz, Polska w obecnym układzie sił musi zrezygnować z samodzielności, jadą więc do "cara" z lennem i kłaniają się w hołdzie. Stronnictwo to uznało, że w tych realiach musimy być niemieckim przysiółkiem, a nasze sprawy i tak zostaną rozstrzygnięte przez neo-Ribbentropa z neo-Mołotowem. Oczywiście, w grupie tej jest sporo karierowiczów i konformistów, którzy tego rodzaju "wyższą" racją racjonalizują narodowe zaprzaństwo. Przedstawiciele tego stronnictwa (premier Tusk) zarzucają drugiej stronie (podobnie jak to było w wieku XIX) brak realizmu, puste gesty i tradycyjnie polskie skłonności do beznadziejnego wymachiwania szabelką. Z tych pozycji oskarżają "sanacyjnych" o zdradę "interesu polskiego", który sami pojmują jako leżenie na plecach i przebieranie łapkami, w nadziei na smaczniejsze kąski z pańskiego stołu możnych sąsiadów.

Ze swej strony stronnictwo sanacyjne usiłuje odwoływać się do myśli niepodległościowej, nie zauważając jakby smutnego faktu wyzbycia się przez Polskę niepodległości w rezultacie podpisanych traktatów. Stronnictwo to, skupione wokół PiS-u, słusznie wskrzesza patriotyzm, ale tylko historyczny - paradoksalnie - nie przedstawia przy tym konkretnego programu naprawy i modernizacji, oddając się emocjonalnym debatom nad tematem zastępczym, jakim jest przyczyna katastrofy smoleńskiej. To tragiczne zdarzenie (nieważne, wypadek czy zamach) to politycznie doskonały punkt wyjścia, obnażający małość warszawskiej administracji, bolesne dla nas wszystkich poniżenie Polski; ukazujący, na co się trzeba zgodzić, jeśli uznamy racje ugodowców - gdy zgodzimy się na brak poważnego państwa, brak podmiotowości politycznej powyżej poziomu gminy i regionu, będziemy musieli przychylnie kiwać głową na cudze wersje wypadków i historii.

Zupełnie tu jest nieważne, jaki był rzeczywisty przebieg katastrofy, najważniejsze jest, co stało się później - bo to zachowanie polskich władz i instytucji bardzo dużo odślania i daje amunicję do politycznego ataku na dużą skalę. Atak zaś musi być prowadzony sprawnie, konkretnie, w oparciu o scenariusz dający nadzieję na sukces - czyli przejęcie władzy.

Bo jeżeli dzisiaj Jarosław Kaczyński, główny polityk opozycji, stwierdza, że jest przekonany, iż to był zamach, następnie zaś spokojnie chodzi sobie po ulicach, to wygląda na to, jakby nie docierała do niego waga własnych słów.



Po pierwsze, jeśli rzeczywiście był to zamach i mamy na to "kwity" (w co wątpię, bo Rosjanie przez dwa lata robili wszystko, aby z całą pewnością nic nie można było ustalić), to nie mówi się w ten sposób w jakimś wywiadzie na śniadaniowej kawie, lecz czeka moment najważniejszy z punktu widzenia politycznego, kiedy tego rodzaju oskarżenie wytworzy falę oburzenia i frustracji, na której niczym zręczny surfer dopłyniemy do "plaży" przejęcia władzy.

Takie rzeczy robi się mocnym uderzeniem, a nie rozwadnia na medialne bla-bla-bla.

To raz. Druga rzecz, to stronnictwo sanacyjne, które jako jedyne oferuje Polakom szansę (chyba że ktoś ma mentalność alfonsa), dało się zapędzić w róg debatowania o rzeczach ubocznych, zamiast skupić się na sprawach podstawowych, oferując atrakcyjny program modernizacji, ożywienia gospodarczego i powrotu do narodowych źródeł - jak to np. zaoferował premier Orban Węgrom.

Tymczasem rządzący usiłują sprowadzić spór do "ptaszka" katastrofy rzekomych oszołomów, usługowi dziennikarze grzebią zaś w życiorysach ekspertów komisji posła Macierewicza, wyciągając jakieś śmiechu warte bzdury. Poziom iście "peerelowski", ale widać na tyle ocenia się na salonach rozgarnięcie Polaków.

Z drugiej strony, mimo podgrzania nastrojów, marszów i wieców nie widać konkretnej oferty politycznego rozwiązania; nie widać lidera, który mówi: wiem, co robić; Polacy, kopnijcie truchło obecnego układu i chodźcie za mną...

Jest w tym wina Jarosława Kaczyńskiego, otoczonego wianuszkiem miernych, ale biernych, uzależnionych od pieniędzy z partyjnego rozdzielnika.

Wielkość prawdziwego polityka z krwi i kości poznaje się po tym, że wie, kiedy odejść, wie, kiedy otworzyć stanowiska dla młodych, wie, jak wychować następców, wie, kiedy wypracowaną przez siebie strukturę puścić luzem.

Takim politykiem był na przykład Richard Nixon, ustępujący nie dlatego, że był winny, lecz dla dobra państwa - można w minionych dziesięcioleciach wiele takich ludzi wskazać.

Nie ma wątpliwości, że "stronnictwo ugodowe" to zdrajcy tłumaczący się "patriotyzmem inaczej". Pozostaje więc "sanacja". Jeszcze można o Polskę zawalczyć, ale ten moment zaraz może minąć. Konieczne są zdecydowane ruchy. Jarosław Kaczyński - jak widać z jego dotychczasowych zachowań - nie ma na nie siły.

\*\*\*

## **Wywiad ze Stanisławem Tymińskim**

*Wywiad przeprowadzono w lutym 2012*



*- Minęło dwadzieścia kilka lat, od kiedy starał się Pan o prezydenturę w Polsce. Świat się zmienił, Polska się zmieniła, wiele rzeczy wyszło na jaw, ludzie dowiedzieli się o wielu sprawach. Jak Pan ocenia tamten czas z tej perspektywy i czy wiedząc to wszystko, co Pan dzisiaj wie, też by się Pan zdecydował wtedy stawać do wyborów, ten pierwszy raz, niejako rzucając się na głęboką wodę?*

- Nie jestem pewien, czybym się zdecydował drugi raz tak silnie zawalczyć, jak walczyłem o Polskę w tych wyborach w 90 roku, ponieważ po latach refleksji, niestety jestem przygnębiony z tego powodu, że Polacy jako naród okazali się narodem tchórzy.

Kiedy w 90 r. mieliśmy naszego śmiertelnego wroga w pogoni, już niektórzy z nich pakowali walizki, żeby wyjechać z kraju, ze strachu, że my wygramy wybory, to wtedy niestety, w II turze, ludzie stchórzyli.

Widząc ten okropny atak na mnie – co było dla mnie wielkim komplementem, że wrogowie tak się poniżyli, że rzucili we mnie stek kłamstw, bo to było przecież z ich strony poniżenie; wielcy intelektualiści bluzgający kłamstwem na prawo i lewo – to znaczyło, że myśmy mieli siłę.

I niestety, Polacy nie byli w stanie obronić swoich głosów, a wtedy wystarczyło podnieść kij i nie trzeba byłoby nawet bić, oni sami by uciekli z kraju.

*- Nie sądzi Pan, że jednak doprowadziliby do jakiegoś siłowego rozwiązania, może zamachu na Pana?*

- Przede wszystkim ich było za mało, to jest cały czas garstka ludzi, trzydzieści osób czy nawet mniej, które są liderami tej całej okupacji w Polsce.

Prawda, oni mają poparcie Zachodu, ale sytuacja geopolityczna w 90 roku była taka, że cały świat się patrzył, co się dzieje w Polsce, i cały świat był ciekawy, co się tam rozegra. Tak naprawdę to nawet nie chodziło wtedy o Polskę, tylko o to, żeby Ameryka pokazała, że po zmianie ustroju w Polsce komunistom będzie jeszcze lepiej; po to, żeby zdobyć przychylność Rosji, żeby zrobili to samo. I tylko o to chodziło.

- *Czy nie sądzi Pan, że ten świat nie tylko się patrzył, ale ten świat sterował i ingerował w cały ten proces, tzn. że było to w pewien sposób inspirowane przez chociażby Amerykanów właśnie?*

- Jak najbardziej. Nie tylko Amerykanów zresztą, Anglicy, Niemcy, Francuzi, Włosi, wszyscy mieli chrapkę na Polskę, widząc, jakie mamy bogactwa. Przecież te bogactwa, które myśmy mieli, już ich nie ma, już przez wielu ludzi zostały wyliczone.

- *Nie tylko bogactwa naturalne, ale przemysł, mówi Pan o infrastrukturze kraju...*

- Przede wszystkim, co zawsze powtarzam, wartość ludzi.

- *Wykształcenie?*

- Tak, wtedy ludzie jeszcze mieli ogromną wartość, co dzisiaj jest wątpliwe.

- *Mieli zapał?*

- Oczywiście, energię, a przede wszystkim nadzieję.

Nad tym zawsze ubolewam, że po tej klęsce wyborczej – nie dla mnie, bo dla mnie to była wspaniała przygoda. Ja każdego dnia dziękowałem Bogu, że brałem w tym udział, ponieważ to było wzniosłe, uroczyste i po prostu wspaniałe. Ale to wszystko się załamało w II turze, ponieważ ludzie się przestraszyli. Ja to czułem. Wiedziałem, że nic z tego nie będzie, ale trzeba było wytrwać do końca.

- *Przez jakiś czas jeszcze próbował Pan coś w Polsce robić...*

- Jeszcze dokończę tutaj. Ostatniego dnia wyborów przejeżdżałem obok gmachu Telewizji Polskiej na Woronicza i powiedziałem żonie i moim ludziom, że wstąpimy tam, zobaczymy, co się dzieje. To już było po wyborach, po ostatnim odcinku wyborczym, kiedy była cisza wyborcza. Zaprosiła mnie dyrekcja na górce i tam podali mi kawę. Żona kawy nie chciała pić, bo nie lubiła tych osobników i nie miała do nich zaufania. Byłem w trudnej sytuacji, bo miałem przed sobą całą dyrekcję TVP, już nie będę wyliczał nazwisk, bo oni jeszcze dzisiaj tam są na wysokich stanowiskach, sami Żydzi.

I jak się zapytałem, dlaczego żeście mnie obrzucili tyloma kłamstwami, żeście się poniżyli do poziomu rynsztoka, odpowiedzieli, “bo myśmy się bali, że pan nas wymieni na Peruwiańczyków”...

- *Taki żart?*

- Nie przeszło im przez gardło, że “pan nas wymieni na Polaków”, to użyli takiego synonimu, że “pan nas wymieni na Peruwiańczyków”. Dla mnie to był zły żart.

- *Ale to nie był koniec Pana zaangażowania w Polsce, bo został Pan w Warszawie. Jest Pan prekursorem Internetu. Maloka była pierwszą komercyjną ofertą internetową w Warszawie i w Polsce, o czym mało ludzi teraz pamięta.*

- To były trudne początki, ponieważ właściwie w Warszawie jedyną drogą uzyskania Internetu była instytucja NASK, która miała siedzibę na Uniwersytecie Warszawskim i była właściwie prywatną firmą kilku profesorów.

Kiedy założyłem tę instalację w podziemiach hotelu Marriott na poziomie minus dwa, to NASK nie chciał mi dać dostępu do Internetu, ponieważ nie wiedzieli, że to było zgodne z prawem, żeby ludzie mieli dostęp do Internetu. Do tej pory była to sieć uniwersytecka kontrolowana przez tę grupę ludzi. Pomyślałem, że jest zmiana ustroju i nie widzę z tym żadnych kłopotów. A oni mówią, że ministerstwo nie da na to pozwolenia. Poszedłem wtedy do jakiegoś dyrektora w ministerstwie i dyrektor powiedział, że nie potrzeba pozwolenia, ale musiałem to uzyskać na piśmie. I to było ewenementem, że ktoś to dostał na piśmie, że Internet można mieć w Polsce, prywatnie, bo do tamtej pory nikt tego nie wiedział. I tak to się zaczęło. Oczywiście, kiedy TPSA zaoferowała dostęp do Internetu tylko za koszty impulsów, to musiałem swoją instalację skasować, bo to była bardzo nieuczciwa konkurencja.

- *Mieli całą sieć w tym momencie.*

- Tak. Mogli robić, co chcieli, i wykosili nie tylko mnie, ale i też przyszłych dostawców Internetu. No a później to się potoczyło innym torem, gdzie weszły w rolę wielkie fortuny kapitałowe.

- *W Polsce po tym okresie "burzy i naporu", hurtowni i wyzwolenia energii gospodarczej narodu, to wszystko zostało skanalizowane przez wielkie korporacje.*

- Czy też pewną grupę ludzi, która bardzo dużo zyskała na zmianie ustroju.

- *Pan jeszcze stawał do wyborów, miał jakąś nadzieję na przebudzenie. Chcę o to Pana zapytać, bo teraz przestał Pan nawet pisać felietony. Czy już Pan nie ma żadnej nadziei na rozbudzenie społeczne, które mogłoby spowodować zmianę sposobu myślenia o swoim kraju, jako o swojej własności, a nie jako o miejscu, gdzie się jedynie mieszka i pracuje?*

- Po wyborach prezydenckich w 90 roku, przyszła do mnie duża grupa ludzi, właściwie grupy z całej Polski, żeby stworzyć ruch polityczny, i tak powstała Partia X.

Trwało to przez kilka lat, niesamowita mordęga, a kłody rzucały pod nogi przez cały system sądowniczy, Państwową Komisję Wyborczą, nieuczciwe liczenie podpisów poparcia, niedopuszczanie do wyborów, i myśmy z tym walczyli.

Ale najgorsze było to, kiedy stworzono niby mojego sobowtóra; sfinansowano Andrzeja Leppera, po to żeby mnie duplikował. Oni mieli wtyczki w naszej organizacji i cokolwiek myśmy rozmawiali, to oni już to robili. To była brutalna metoda walki i niestety z tym nie mogliśmy sobie dać rady, bo nas wyciszano, a jego nagłaśniano. Miałem strajk włoski, pytano "dlaczego Pan się nie złączy z Andrzejem Lepperem?".

To było niedopuszczalne.

- *Pana zdaniem, to był podstawiony człowiek?*

- Ja wiem, że był podstawiony. Nawet wiem, kto go podstawiał i kto go sfinansował.

Smutno skończył, kiedy ludzie, którzy go wylansowali, brutalnie go opuścili, bo już nie był im

potrzebny. W mojej opinii, on powinien być na to przygotowany. Ale do tego trzeba mieć wizję, żeby się zabezpieczyć na taki przypadek. I to było tak brutalne, że właściwie oni nas tym sposobem znokautowali jako Partię X na scenie politycznej. Partia X była grupą patriotów, w pewnym momencie w Partii X było przeszło osiem tysięcy członków, ale Partia X polegała głównie na składkach członków i najbardziej wierni partii, jeśli chodzi o składki, to byli emeryci.

Tutaj mieliśmy dylemat, jak konkurować z tymi partiami finansowanymi przez różne organizacje międzynarodowe, jak Fundacja Stefana Batorego.

My z kolei mamy bardzo skromne możliwości finansowe, ale mieliśmy dużo zapału. Ale co z tego, kiedy nie było pieniędzy na programy wyborcze w telewizji, nie było pieniędzy na kamery, kiedy oni mieli wszystkiego w bród. Później powstały progi wyborcze. No i nawet nas nie dopuszczano do rejestracji.

Pamiętam przypadek w wyborach w 92 r., kiedy sędzia komisji okręgowej w Warszawie określił, że mamy sfałszowane podpisy, nie dając nam żadnego dowodu. I z tego powodu nawet rzeczniczka prokuratury zrezygnowała ze swego stanowiska. Wypowiadała się wtedy na ten temat negatywnie, jeśli chodzi o tego rodzaju postępowanie, rzeczniczka praw obywatelskich, ale co z tego.

To było po prostu brutalne wyrzucenie partii. Ja potem nas wyrejestrowałem. Ile można walczyć.

A jeśli chodzi o miliony ludzi w Polsce, które mogły nas popierać, wszyscy byli w strachu, bo wiedzieli, że na nas była nagonka. I ciągle cały czas ten strach, strach, strach. Strach był najgorszym przeciwnikiem.

*- Pan cały czas śledzi wydarzenia w Polsce, jest Pan aktywny w Internecie, czy to nowe pokolenie, np. kibice, którzy demonstrują na stadionach, czy ono się tego strachu będzie w stanie pozbyć? Strach poprzedniego pokolenia jest być może zrozumiały, bo to pokolenie dostało w tyłek za komunizmu i nauczyło się metod przetrwania, które się przekładały na to, że bali się dopominać o swoje.*

- Popieram młodzież patriotyczną do tego stopnia, że kiedy widzę, że są w kraju jakieś demonstracje, to czasem wyślę nawet jakieś pieniądze poparcia; podziękować za demonstrację nie wystarczy, trzeba to przypieczętować pieniędzem, w nadziei, że coś z tego będzie.

Nasi wrogowie tak umocnili swoje struktury przez ostatnie dwadzieścia kilka lat – mówię o strukturach formalnych, nie tylko wojsku i policji, a przede wszystkim w finansach, w bankowości, instytucjach prawnych – było ich za mało, więc ściągnęli swoich ziomków, którzy są w międzynarodowych organizacjach pomocy prawnej czy finansowej.

Ci ludzie mają struktury. I teraz puści pan na nich młodzież, bez lidera, bez struktury, bez finansowania, to jest rzeź, to jest motłoch i motłoch nigdy w tej sytuacji nie wygra. Niestety, nie widzę mozolnego budowania polskich organizacji, które by miały formalne struktury i strategię, czy też ludzi, którzy myślą strategicznie, czegoś, czego do tej pory u Polaków nie widziałem – myśli strategicznej. Widzę to u naszych wrogów, ale nigdy u Polaków nie widziałem. Bo każdy jest szlachcic, każdy tokuje, każdy wie lepiej i nie ma wspólnej pracy nad...

*- ...nad programem?*

- Nie ma zgody między ludźmi, między Polakami, na odzyskanie kraju. Przez lata starałem się zapytać moich rodaków, czy tutaj w Kanadzie, czy też w Polsce, jaką mają wizję Polski, powiedzmy za pięć, za dziesięć lat. Tej wizji nie ma. W mojej opinii, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

*- Nie sądzi Pan, że to problem elit, że nie ma tych elit, które zostały zdeprawowane, wybite, a praca teraz powinna się koncentrować właśnie nad odrodzeniem elit młodego pokolenia? Może to jeszcze jest możliwe. Wiele narodów miało okresy upadku, a potem się podnosiły.*



- Nie lubię zrzucać winy na historię, czy też zrzucać winy na braki, bo ja się wtedy czuję jak looser. Zawsze winę zrzucam na siebie.

Popatrzmy się na nas jako środowisko; kogo my chcemy popierać jako lidera? Bo lidera się popiera, bo się go kreuje, i ten lider rośnie w siłę.

Kiedy los mnie postawił w sytuacji kandydata na prezydenta w 90 r., oczywiście, musiałem być partyzantem, przyczać się i wyskoczyłem wtedy jak diabełek z pudełka, bo nie było innej możliwości. Gdybym zrobił to wcześniej, to wcześniej zostałbym zniszczony.

Jak już byłem na tej scenie politycznej, to musiałem zachować się jak lider i musiałem wskoczyć w te buty i sprostać zadaniu. Poparcie, które miałem w czasie wyborów, że miliony ludzi zaczęły na mnie głosować, dodało mi skrzydeł. Szliśmy z tym wiatrem, który nas gnał do przodu, na zwycięstwo. I to się w ostatniej chwili załamało. To było strasznie przykre i smutne.

Nie dla mnie. Mnie było bardzo żal Polaków.

Po tych wszystkich doświadczeniach, kiedy się odsunąłem od polityki, żeby zająć się interesami i rodziną, miałem nadzieję, że będę kogoś promował, że się pokaże na scenie politycznej chociażby jeden lider w kraju 40 milionów ludzi, który by miał myślenie czysto strategiczne. Nigdy, niestety, takiego człowieka nie spotkałem, żeby go popierać. Oczywiście, przychodzili do mnie różni, nawet odzywały się głosy od prawnika Romana Giertycha – niech pan nam da sto tysięcy dolarów – czy Korwin-Mikke chciał, żeby jego popierać, ale chwileczkę.

Dla mnie to nie są ludzie, którzy myślą strategicznie i są godni zaufania; z moich doświadczeń z nimi z poprzednich lat w Polsce.

A nowego lidera nie widzę. Myślę, że jednym z powodów jest to, że Polacy nie chcą albo się boją popierać lidera, bo jak temu liderowi dadzą poparcie czy słowem, czy czynem, czy jakąś ilością pieniędzy, ktoś to zanotuje i stracą tę pracę, której i tak nigdy nie będą mieli. Stracą te kariery, których nie będą mieli. I ten strach jest przepotężny.

Akurat wczoraj pierwszy raz zobaczyłem film o Popiełuszce. No i ten ksiądz męczennik w swoich kazaniach cały czas powtarzał, że strach jest najgorszym wrogiem. On życie poświęcił i został świętym, a tego strachu nie zdołał przezwyciężyć.

Ja też z tym walczyłem na scenie politycznej i dla mnie to jest najgorsza rzecz, jaka jest w naszym kraju.

Nigdy nie winię moich wrogów, bo wiem, że moi wrogowie są zdolni do najgorszych podłości. Tak samo jak wilk zawsze będzie jadł owce, nie można go tego oduczyć, to jest w jego naturze.

Zawsze jestem wdzięczny za to, że miałem potężnych wrogów, nawet finansowanych przez światowe mocarstwo, bo człowieka się ocenia po jego wrogach. Tak że nie narzekam na wrogów, ja się ich nie boję, ale moi rodacy.

I tu widzę, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Niestety, Polacy zostali tak zabiedzeni, że większość ludzi nie ma środków do życia, żeby przetrwać przez dwa – trzy miesiące. Zresztą podobna sytuacja jest w Ameryce. Statystyki pokazują, że większość ludzi w ciągu 30 dni nie może nawet zebrać dwóch tysięcy dolarów, gdyby mieli jakiś wypadek. Społeczeństwo zostało tak zabiedzone, że jest łatwe do kontroli. To jest metoda kontroli nad społeczeństwem.

*- Czy to jest element procesu globalnego?*

- Absolutnie, a szczególnie w Polsce. Bo w Polsce wiadomo było od samego początku, szczególnie ja, który żyłem przez kilka lat w Peru i widziałem, że kierunek Polski był latynoski, gdzie jest bardzo mała grupa ludzi, którzy są bardzo bogaci, a reszta zabiedzona i posłuszna.

Więc jak ja mogę prowadzić do boju ludzi i robić zamieszanie, kiedy ci ludzie nie mają środków do życia, żeby przetrwać nawet tydzień czy miesiąc? Jak czek z renty czy czek z zakładu nie przyjdzie na czas, to rodzina umrze z głodu. W tej sytuacji trudno oczekiwać, że młodzież, która oczywiście

chciałaby zmiany i od czasu do czasu bierze udział w pochodach, żeby w Polsce zrobiła rewolucję. A innej drogi nie ma, bo jedynie rewolucja może tych ludzi, którzy już mają tak silne struktury, zmieść, wymieść z naszego kraju.

*- Ale rewolucja musi mieć przywódcę i rewolucja musi mieć program.*

- Tak, inaczej stanie się opresorem i okupantem. Summa summarum, żeby zakończyć moją myśl, Polska jest w stanie nowoczesnej okupacji.

*- Może Pan powiedzieć dokładniej, na czym ta okupacja polega?*

- W starych czasach okupacja była wojskowa; za okupacji niemieckiej wróg chodził w mundurach. Za okupacji rosyjskiej już to nie było takie jasne, bo były masy tajniaków, ubeków, esbeków i czego tam jeszcze.

Możni tego świata doszli do wniosku, że okupacja wojskowa nie daje maksymalnych korzyści i okupacja dzisiaj jest okupacją finansową, pod płaszczykiem globalizacji. Ludzie są eksploatowani do maksimum, po to żeby mocarstwa mogły utrzymać wysoki poziom życia.

*- Inni muszą na to pracować?*

- Absolutnie.

*- Mówił Pan, nie ma wizji Polski, a jaka jest Pana wizja Polski? Jak Pan by sobie wyobrażał tę Polskę marzeń, Polskę, która jest krajem wolnym, niepodległym, w którym ludzie sami się rządzą?*

- Przede wszystkim bym chciał zobaczyć – mam nadzieję, że jeszcze tego dożyję – uczciwych Polaków w rządzie, którzy wspólnie razem pracują dla dobra Polski, bez korupcji, bez przekrętów, którzy pracują patriotycznie i uczciwie dla dobra kraju.

Jeśli zobaczę taką grupę ludzi pracującą dla dobra kraju, to będę bardzo szczęśliwy. Tu dużo nie potrzeba, powiedzmy trzydziestu – czterdziestu ludzi, żeby wymienić tę małą garstkę naszych wrogów, którzy zajmują te stanowiska.

*- Ale oni są poobrastani tym całym aparatem...*

- Jak powiedziałem, jest nikła nadzieja na rewolucję, a jedynie rewolucja może tych ludzi wymieść z kraju!

Nic innego, żadne wybory demokratyczne do tego nie doprowadzą. Oni mają już wybory opanowane w jednym palcu, z ordynacją proporcjonalną, z progami wyborczymi, które wymagają setek tysięcy podpisów, a to ma swoje koszty, z finansowaniem kampanii wyborczych, które są dotowane przez budżet państwa, co jest absolutnie niemoralne. Kto może to przeskoczyć?!

*- Kto dokładnie jest w Polsce okupantem? Kto to jest?*

- No niestety, to jest mała grupa ludzi, która do tej pory zajmuje te stanowiska. I niestety są to ludzie, którzy dziedzicznie mają władzę w Polsce, i niestety są to ludzie pochodzenia żydowskiego. Często pod przybranym polskim nazwiskiem.

*- Jakiś czas temu miał Pan kontakty z rządami Białorusi. Białoruś jest to taki kraj, w którym ten proces globalizacji nie jest jeszcze zaawansowany. Co Pan sądzi o dzisiejszej sytuacji, o napięciach*

*polsko-białoruskich? Czy Polska nie jest używana jako swego rodzaju taran, żeby na Białorusi wprowadzić rząd struktur globalnych?*

- Absolutnie się z panem zgadzam, że Polska jest używana jako taran. Nie tylko taran, ale mamy jeszcze takie psy łańcuchowe, jak Radek Sikorski, który stale ujada na Białoruś i Polska ma z tego bardzo mało pożytku, a wręcz przeciwnie, same szkody.

Zawsze ubolewam nad tym, że po zmianie ustroju w 89 r. myśmy się brutalnie politycznie odcięli od Rosji, od rynku wschodniego, czyli cała Białoruś, wszystkie były republiki i cała Rosja. Myśmy na tym strasznie dużo stracili. Aby się podlizać Zachodowi, na ich zawołanie staliśmy się wrogiem tego całego obozu. Straciliśmy właściwie ćwierć dekady do tej pory, żeby w ten rynek wejść. A mieliśmy im dużo do zaoferowania.

*- Czy Pan uważa, że Polska może być dla Rosji partnerem?*

- Pozwoli pan, że dokończę pana pytanie o Białoruś.

Dla mnie Białoruś i Rosja to jest jedno, więc kiedy Radek Sikorski ujada na Białoruś, on ujada na Rosję. Byłem na Białorusi kilka razy i zauważyłem, że we wszystkich ministerstwach, w rządzie Białorusi pracują Rosjanie. Tak że rząd już został przez Rosjan przejęty.

Poza tym są tak silne sojusze wojskowe między Rosją i Białorusią, że właściwie oni mają jeden system dowództwa w Moskwie.

Poza tym jest tak silna unia gospodarcza, to jest tylko kwestia czasu, dogodnego momentu, kiedy to będzie jedna Rosja. Nie widzę, jak Zachód się może temu przeciwstawić. Tak że atakując Białoruś, Polska atakuje Rosję.

*- To wracamy do Pana koncepcji tej Polski, która mogłaby coś ugrać w całym układzie politycznym. Czy Rosjanie są w stanie traktować Polskę jako partnera?*

- Absolutnie. Miałem czasami rozmowy z radcą gospodarczym ambasady rosyjskiej. On uważał Polaków za głupich szaleńców.

*- Dlaczego?*

- Metody polityczne. Te stałe ataki, podjazdy, to nie jest dobre dla interesów. Ten człowiek nie mógł tego zrozumieć. Ogólnie, Rosjanie patrzą na nas z pogardą. Uważają te podskoki za podskoki ludzi niedojrzałych, niezrównoważonych.

Nikt po drugiej stronie nie ma wątpliwości, że my to robimy na zamówienie Zachodu, więc traktują nas jak głupie marionetki. A w międzyczasie ponad naszym krajem mają doskonałe interesy Niemcy, Francja, Włochy, gdy Polska jest tylko krajem przejazdowym i "pasażerem" nowoczesnych technologii.

*- Wróćmy zatem do Kanady, zajął się Pan biznesem, zajął się Pan rodziną. Jak stoi Pana firma?*

- Jak wróciłem, to odbudowałem wszystko od nowa, już nie pierwszy raz.

Firma ma już trzydzieści siedem lat, tak że jak na firmę komputerową to jest niesłychane, że przetrwała tyle lat w interesach.

Wiedzie nam się bardzo dobrze i muszę się pochwalić, że w moim wieku, obecnie jestem cenionym konsultantem dla wielu firm energetycznych, stacji atomowych, które nie dzwonią "daj mi to, daj mi tamto", tylko pytają się "panie Tymiński, niech nam pan poradzi, co dla nas będzie najlepsze".

Długo na to czekałem. W moim wieku, jestem już starszym człowiekiem i to są moje złote lata,

jestem wdzięczny za to, że jestem w ten sposób traktowany – jako szef firmy wysokich technologii. I oczywiście, co się z tym wiąże, mamy dobre wyniki finansowe.

Nie wiem, jak długo jeszcze mogę to pociągnąć. Na razie czuję się dobrze, jeśli chodzi o zdrowie, ale lata lecą. Zacząłem przygotowywać plan sukcesji, żeby scedować firmę na pracowników i pomóc im w tym zadaniu. I samo to w sobie jest poważnym planem na przyszłość.

A jeśli chodzi o moje życie prywatne, to jestem bardzo zadowolony ze swoich osiągnięć osobistych i zawodowych, mam swoje hobby, wszystkie dzieci wyfrunęły z domu.

*- Jakie Pan ma hobby?*

- Oprócz krótkofalarstwa, którym się zajmuję już od pięćdziesięciu lat, bardzo lubię pracę w ogrodzie, sadzę masę drzew na mojej posesji, tzw. park.

Mamy dwa psy wilczury, które też są naszym hobby.

Bardzo lubię z żoną gotować, ona piecze wspaniałe chleby, ciasta, a ja z kolei gotuję wspaniałe obiady. Tutaj jest nieskończona możliwość nauki i pola do popisu.

Tak że mam co robić.

*- Rozmawialiśmy o Europie, o Polsce, prowadzi Pan firmę w Ameryce, gdzie w ciągu tych dwudziestu – trzydziestu minionych lat sytuacja nieprawdopodobnie się zmieniła, głównie za sprawą rozwoju Azji, rozwoju Chin. Jak Pan ocenia tę sytuację?*

- Jeśli chodzi o naszą działalność biznesową w Kanadzie, to ona jest bardzo ograniczona, ponieważ niestety, Kanada jest traktowana przez firmy międzynarodowe jako kraj kolonialny. Jeśli Toyota zakłada tu swoją fabrykę, sprowadzają całą automatykę i wszystkie komputery z Japonii. Jeśli Ford Motors robi modernizację swojej fabryki, robią to samo, wszystko przychodzi z Ameryki.

Tak że dla nas, lokalnej firmy, możliwości partycypacji w tego rodzaju projektach są bardzo małe.

Poza tym mentalność urzędników w lokalnych rządach czy na poziomie miasta Mississauga czy Toronto, czy nawet poziomu prowincji czy rządu federalnego jest taka, że jak jest zrobione w Kanadzie, to pewnie jest nic niewarte.

Ale z kolei mamy bardzo duże sukcesy zawodowe w swojej dziedzinie. Wspecjalizowaliśmy się w komputerach niezawodnych dla elektrowni atomowych i konwencjonalnych, gdzie jesteśmy bardzo cenieni.

Muszę się pochwalić, że przez ostatnie dwa lata produkujemy serwery, komputery i monitory do elektrowni atomowych w Chinach, najnowszej generacji, elektrowni, które będą chłodzone gazem. To jest coś niesamowitego, coś bardzo wyjątkowego, że mała firma kanadyjska będzie miała komputery zainstalowane na reaktorach atomowych najnowszej generacji w Chinach.

Pytanie jest, dlaczego Chińczycy kupują to od Kanady? Oczywiście, my sprzedajemy firmie amerykańskiej, która to integruje w swój system i wysyła to do Chin, niemniej są to komputery, które zaprojektowałem osobiście i które produkujemy przez ostatnie dwa lata.

Jestem z tego powodu bardzo dumny i zadowolony. Ale nasz główny rynek jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie jest m.in. bardzo dużo elektrowni wiatrowych używających naszych komputerów. To jest interes bardzo rozwojowy. Za każdym razem gdy stawiają elektrownię wiatrową i dostajemy zamówienie, nie mogę narzekać. Odkryli, że nasze komputery są dobre do ich zastosowań i mamy z tego powodu stały biznes. Podsumowując jednym słowem – jest dobrze.

*- A czy będzie dobrze?*

- Czy będzie dobrze, ja tego nie wiem.

- *Czy będzie dobrze, biorąc pod uwagę to przesunięcie produkcji, które się dokonało, ze Stanów Zjednoczonych do Azji?*

- To jest już pies pogrzebany.

Tak się stało, że przez ostatnie dwadzieścia lat myśmy przyjęli do pracy dużo Chińczyków. Połowa tej firmy to są Polacy, połowa Chińczycy, i dzięki temu, że mamy Chińczyków, większość części kupujemy z Azji, mamy możliwość komunikacji z naszymi dostawcami po chińsku, to nam bardzo pomaga. Już się nie muszę wysilać w rozmowach z kimś w Tajwanie, kto nie mówi dobrze po angielsku, poproszę jednego z inżynierów, których tutaj mamy, żeby porozmawiał i oni sobie świetnie dają radę. Tak że jest bardzo dobra metoda transferu technologii z Azji do nas. A jeśli chodzi o tradycyjne firmy z Ameryki, które nam dostarczały części poprzednio, to one się poddały, nie wytrzymały presji kosztów i po prostu wyszły z interesów.

- *Czy nie sądzi Pan, że gospodarka amerykańska też zaczyna wychodzić z interesu, czy widzi Pan jakieś możliwości rozwoju amerykańskiej gospodarki?*

- Ja się na to patrzę zawsze z lotu ptaka, żeby się nie zagubić między małymi drzewami, a z wiekiem staję się coraz bardziej pragmatyczny.

Tutaj nie chodzi tylko o to, że Ameryka odesłała produkcję do Chin, bo niewątpliwie był do tego powód. Tam siła robocza jest o wiele tańsza.

Tutaj chodzi o to – mnie się wydaje – żeby wyeliminować z naszego społeczeństwa leniwych, głupich ludzi, którzy nie chcieli mieć wyższej edukacji, nie chcieli się uczyć, po prostu zostali przy telewizorze i skrzynce piwa i uważają, że im się wszystko należy.

Myślę, że tych ludzi jest dzisiaj tak dużo w Ameryce, że musiała nastąpić pewna zmiana, żeby ich odsunąć na bok i pokazać im swoje miejsce. Nie ma kołaczy bez pracy. Jakie my mamy prawo w Ameryce, żyjemy w Kanadzie, ale mówię Ameryka w sensie Ameryki Północnej, żeby wymagać tylko dlatego, żeśmy się przyzwyczaili do dobrobytu? Podczas gdy największym wyzwaniem jest utrzymać ten poziom dobrobytu, na którym jesteśmy. I w tej chwili mamy tego rodzaju wyzwanie, bo jest nowa generacja, widzę to po swoich dzieciach.

Mam ogromne obawy, czy oni potrafią sobie dać radę w przyszłości.

- *Czy potrafią walczyć?*

- Tak. Po prostu, są wychowani w warunkach dużego dobrobytu.

- *I to im odebrało energię i motywację?*

- Tak. Zostali zmanierowani. Po prostu zepsuci do szpiku kości.

Oczywiście nie można mówić o wszystkich, bo są jednostki, które potrafią się zmobilizować, potrafią po prostu przyłożyć się do nauki, potrafią znaleźć sobie specjalizację zawodową, bo są to jednostki ambitne, prężne, ale to są nieliczne jednostki. Może tak będzie w przyszłości, że będzie ta grupa liderów, a reszta może być bez pracy, bo cała praca ręczna pójdzie do Azji.

- *Czy to nie zaburzy całego systemu, czy to nie spowoduje rewolucji?*

- Oczywiście, że zaburzy system i po to jest wojsko i policja, a poza tym ludzie biedni nie mają racji, bo nie mają środków, żeby za dużo podskoczyć. Są całkowicie uzależnieni.

Ameryka się tego nie boi po wszystkich przewalankach, które były tutaj w latach 30.; były masowe strajki, policja końmi najeżdżała na ludzi, były ofiary śmiertelne, były pacyfikacje studentów.



Ameryka jest na takie rzeczy uodporniona. Poza tym powstały bogate gated communities, Amerykanie na wszelki wypadek kupili sobie masę broni. Ilość broni sprzedanej w ostatnich latach wzrosła niesamowicie, cena amunicji przez to też wzrosła niesamowicie, bo wszyscy mają amunicji po dziesięć tysięcy sztuk do broni automatycznej, przygotowani na wszelki wypadek.

Ale to nie wszystko. Ja się tego nie obawiam tak bardzo, bo to jeszcze daleka droga tutaj w Ameryce, bo to się staje powoli. Ja się obawiam, że może być wojna w tym roku.

I to nie tylko wojna lokalna, jeśli chodzi o Iran, ale z tego może nastąpić III wojna światowa atomowa.

*- Kto przeciwko komu? Chiny, Rosja przeciwko Ameryce, Zachodowi i Izraelowi?*

- Nie wiadomo, kto się przyłączy, bo Iran ma wokół siebie sąsiadów, w unii gospodarczej jest z Pakistanem i już z Afganistanem. Jest bardzo duży rozwój gospodarczy między Iranem a Pakistanem i na pewno jeśli ktoś uderzy na Iran, to Pakistan się temu przeciwstawi.

Poza tym Indie mają tam swoje interesy, ponieważ jest duża rura na ropę naftową z Iranu do Indii i Indie potrzebują tej ropy coraz więcej. Jeśli to zostanie zakłócone czy przejęte przez kogoś, kto będzie złośliwy, to Indiom to się nie będzie podobało. Chińczycy też kupują dużo ropy od Iranu.

Tam są interesy międzynarodowe. Myślę, że to może być kropla, która przepełnia kielich, bo świat jest w tej chwili naprężony, jest cały czas cicha wojna podjazdowa o surowce, wiadomo, że ropa naftowa jest na wykończeniu. Wydobycie w nowych miejscach, jak w Brazylii, jest zbyt kosztowne, a konwencjonalne miejsca wydobywania ropy naftowej są bardzo ograniczone, między innymi dlatego myśmy przejęli Irak, a Iran jest drugim krajem co do eksportu ropy naftowej, i jeśli to zostanie zakłócone, to może to spowodować wielki konflikt. Świat już jest naprężony, i zresztą cały świat jest w tej chwili w recesji.

Jeśli ktoś tego nie widzi, to jest w błędzie, bo świat jest w recesji i nikt nie wie, jak się z tego wy dostać.

*- Czy ta III wojna światowa, Pan mówi nuklearna, czy to nie jest tak, że ona się będzie toczyła na tym poziomie wysoko zaawansowanych technologii, na poziomie uderzania w infrastrukturę, nie bombami?*

- Na pewno będzie wojna prowadzona wszelkimi metodami. A jeśli chodzi o metody tego rodzaju, internetowe czy wirusowe, to niestety, Chińczycy w tym przodują, oni są w tym najlepsi. Jeżeli oni uderzą w nas, to my jesteśmy całkowicie bezbroni. Mam dużo do czynienia z Chińczykami i wiem, do czego są zdolni, i często nie pokazują wszystkiego, co potrafią. Chińczycy są niesamowici proszę pana, cicha woda brzegi rwie.

*- Dziękuję bardzo.*

*Rozmawiał Andrzej Kumor*

**Rozmowa ze Stanisławem Michalkiewiczem: Jesteśmy na etapie ześlizgu**

Rozmowę przeprowadzono w Mississaudze we wrześniu 2011 roku



**Goniec:** *Ludzie mówią, że wspaniale się Pana słuchać, mówi Pan rzeczy, które pozwalają ubrać w słowa to, co każdy dostrzega, i faktycznie tak jest, jak Pan mówi. Jednak brakuje odpowiedzi na "leninowskie pytanie" – "co robić?" – co w obecnej sytuacji można zrobić? Jak w tej anegdocie z tą żabą optymistką, którą Pan przytaczał na spotkaniu, która nie poddaje się w kadzi śmietany i ratuje, ubijając ją na masło. Jak ubić to masło w naszych czasach?*

**Stanisław Michalkiewicz:** Dziękuję na wstępie za tę pochwalną recenzję, którą pan był łaskaw podać, ale wracając do tej anegdoty, żaba optymistka nie wiedziała właściwie, co robić, zachowywała się instynktownie. A to, że rano siedziała na osełce masła, to było rzeczą przez nią niewykalkulowaną, tylko rzeczą, która się wydarzyła mimo woli żaby.

Ja, gdybym wiedział, co w takiej sytuacji robić, tobym tego nie ukrywał. Nie dlatego tego nie mówię, że jestem jakąś osobą perfidną, tylko sam tą wiedzą nie dysponuję. Moim zdaniem, tak jak przedstawiam sytuację Polski w tej chwili, to koniunktury międzynarodowe – bo od tego dużo zależy – sprawy wewnętrzne i moralna, polityczna kondycja tego społeczeństwa to jest jedna sprawa, ale bardzo dużo zależy od okoliczności międzynarodowych, okoliczności zewnętrznych, a te akurat układają się dla nas niekorzystnie w tym momencie.

Co nie znaczy, że tak będzie zawsze. Natomiast warto, w moim przekonaniu, nawet jak to jest przygnębiające, a zdaję sobie sprawę, że jest, przedstawić diagnozę sytuacji.

Po pierwsze, co jest przyczyną paroksyzmów i tego, że nasze państwo nie jest w stanie w żadnym segmencie swego funkcjonowania stworzyć siły?

Nie może to być bez przyczyny, musi być jakaś przyczyna tego i tę przyczynę musimy poznać, bo jeśli jej nie poznamy, to nawet jeśli się okoliczności wewnętrzne i zewnętrzne nagle zmieniają na

korzystać, to nie będziemy potrafili jej usunąć, bo nawet nie będziemy wiedzieli, gdzie ona jest. W związku z tym diagnoza jest rzeczą szalenie ważną, ale problemem naszego społeczeństwa jest to, że gdyby nawet sytuacja nagle się zmieniła na jakąś olśniewająco korzystną, to wcale byśmy nie wiedzieli, od czego zacząć, w jakim kierunku...

- *Podobnie było w czasach opozycji lat 80., nikt nie był przygotowany; nikt nie miał wizji programowej niepodległości Polski czy niepodległego państwa.*

- Myślę, że tak. To znaczy środowiska niepodległościowe, ja mogę mówić za siebie, bo byłem jednym z uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka, który nawiązywał do II Rzeczypospolitej, do Armii Krajowej, do tej tradycji niepodległościowej.

Mnie się na przykład na początku zdawało, że jeśli tylko niepodległość uda się uzyskać, to wszystkie problemy jak gdyby zostaną załatwione, ale nagle sobie uzmysłowiłem, że Chiny są niepodległe, że Związek Sowiecki jest niepodległy, ale że nie chciałbym tam mieszkać.

Niepodległość jest tylko etapem, jest środkiem koniecznym, który umożliwia zrobienie czegoś korzystnego dla własnego państwa, dla własnego narodu. Bowiem na czym polega brak niepodległości, co jest największą konsekwencją braku niepodległości; to że bogactwo, jakie naród wytwarza, przechwytyje kto inny i zwykle używa go przeciwko temu narodowi.

Więc to jest najbardziej niebezpieczne.

Niepodległość pozwala użyć zasobów tego potencjału ekonomicznego narodu na jego korzyść, dla obrony jego interesów i dlatego jest rzeczą konieczną. Natomiast oczywiście nie załatwia wszystkich spraw, bo możemy te szanse zmarnować i utracić niepodległość w konsekwencji zmarnowania tych szans.

Warto się w tej sytuacji zastanowić, jak ewentualnie z wywalczonej niepodległości korzystać, i wobec pewnego ciśnienia czy powiedzmy nadmiernego zaufania do nurtu lewicy laickiej w opozycji demokratycznej, doszło do tego, że przy okrągłym stole właściwie góra urodziła myśl, właściwie nie było żadnego programu.

- *Wszyscy powiedzieli "Balcerowicz"...*

- Tak. A tak naprawdę to ta część opozycji, mówię o lewicy laickiej, udzieliła gwarancji komunistom zachowania pozycji społecznej w nowych warunkach ustrojowych i umowa okrągłego stołu w gruncie rzeczy na skutek tego nie była aktem zwrócenia suwerenności politycznej narodowi polskiemu, tylko umową o podziale władzy nad narodem polskim. Tak zostało do dzisiejszego dnia.

- *Ale także zlikwidowano te formalne prerogatywy państwowe, bo mamy podpisany Traktat Lizboński i z prawnego punktu widzenia trudno mówić o Polsce jako o państwie niepodległym według klasycznej definicji niepodległości. W związku z tym pytanie do Pana, czym jest teraz Polska, co to jest za forma administracyjna?*

- Myślę, że jesteśmy w tej chwili na etapie ześlizgu po równi pochyłej ku utracie niepodległości, całkowitej utracie niepodległości, całkowitej utracie suwerenności politycznej. Traktat Lizboński, który wszedł w życie 1 grudnia 2009 roku, ustanawia Unię Europejską jako nowy podmiot prawa międzynarodowego.

Wszyscy entuzjaści Unii Europejskiej przekonują nas, że Unia Europejska nie jest państwem, mimo że ma wszystkie atrybuty państwa, ma terytorium, bo terytorium Unii Europejskiej stanowią terytoria wszystkich państw członkowskich, Unia ma swoje granice zewnętrzne, które są widoczne, przecież na wschodniej granicy Polski ta granica jest wyraźnie zaznaczona, Unia Europejska ma ludność, ponieważ wszyscy od 1 grudnia jesteśmy obywatelami Unii Europejskiej, a dotychczas

obywatelstwo kojarzyło się tylko z państwem, nie można być obywatelem ONZ-etu czy obywatelem UNICEF-u. Jest się obywatelem państwa, więc to jest dodatkowa poszlaka, że Unia państwem jest. Wreszcie Unia Europejska ma władze, powszechnie znane, nie będę ich wymieniał, bo wszyscy to wiedzą. No i ma jeszcze inne atrybuty państwa, bank centralny, walutę, ma Europol, czyli policję, ma Eurojust, czyli prokuraturę, ma w załączkowej postaci, niemniej jednak ma, siły zbrojne w postaci Unii Zachodnioeuropejskiej. Cóż jeszcze trzeba, żeby uznać taki twór za państwo?

Wiele państw uznanych za państwa takich rzeczy nie ma, a mimo to są traktowane jako państwa. Myślę, że dlatego tak nas przekonują, że Unia państwem nie jest, bo wówczas trzeba by było odpowiedzieć na kłopotliwe pytanie, jaki jest status prawnomiędzynarodowy państw członkowskich. Z Traktatu Lizbońskiego wynika, że państwa członkowskie stanowią części składowe Unii Europejskiej. Do tej pory było tak, że żadna część składowa jakiegoś państwa nie było niepodległa. Przeciwnie, podlegała władzom tego państwa, jako jego część składowa, mogła mieć autonomię, natomiast nie miała niepodległości, ponieważ musiała władzom państwa, w którego skład wchodziła, podlegać. I to jedna kwestia. To jest taka kłopotliwa odpowiedź.

Od razu muszę powiedzieć, że to nie musi być coś złego – zrzeczenie się niepodległości, bo w 1569 roku Wielkie Księstwo Litewskie i Korona Polska wyrzekły się niepodległości, żeby stworzyć Rzeczpospolitą Obojga Narodów, i nic złego się nie stało. Przeciwnie, to taki impuls rozwojowy był niezwykle. Ale nie mówmy, że ten akt nie zachodzi, że zrzeczenie się niepodległości nie ma miejsca, bo ma.

Druga kwestia wynikająca z Traktatu Lizbońskiego, to jest suwerenność polityczna, wynika z innych okoliczności, bo nie z samego Traktatu Lizbońskiego, chociaż częściowo i z niego, że tylko Niemcy zachowują suwerenność polityczną w Unii Europejskiej, co je pretenduje do stanowiska kierownika politycznego, i w tej chwili rzeczywiście trochę więcej kryzysu i te intencje się objawiły.

Niemcy coraz głośniej mówią, że trzeba stworzyć rząd europejski, czytaj z Niemcami na czele, i wykorzystują do tego kryzys. Ja nawet, jako człowiek podejrzliwy, to zaczynam zupełnie serio podejrzewać, że od pewnego momentu kryzys jest, że tak powiem, napędzany, żeby ten cel osiągnąć, bo to w tej chwili jest już widoczne. Oczywiście, to nazywam tym ześlizgiem po równi pochyłej, bo jeśli nawet Unia Europejska na skutek kryzysu, na skutek jakichś innych zaszłości przestanie istnieć, no to nie wiemy, w jakiej kondycji będzie Polska, czy w ogóle będzie. Czy będzie miała granice, jakie, czy będzie miała siły zbrojne itd. itd. Tego nie wiemy, więc rzucamy się do basenu na oślep, nie patrząc nawet, czy tam jest woda. To się musi skończyć źle.

W tej chwili, zwłaszcza po deklaracji pana prezydenta Baracka Obamy z 17 września 2009 roku, kiedy on właściwie tą deklaracją dał do zrozumienia, że Stany Zjednoczone wycofują się z aktywnej polityki w Europie, to politykę europejską kształtują według swego uznania – i robią to bardzo szybko, bo chcą wykorzystać ten moment dziejowy sprzyjający – strategiczni partnerzy, czyli Niemcy i Rosja. A oni mają wobec nas swoje plany, które kolidują z naszymi ambicjami i z naszymi marzeniami, z naszym patriotyzmem itd. To są te trzy składniki tej bardzo przykłej sytuacji.

- *Większość ludzi w Polsce nadal – jakby z rozbiegu – mówi o Polsce jako niepodległym państwie, bo widzi symbole państwowości polskiej, jest wojsko polskie, mundury, obchody rocznic itd. Jak odzyskać tę prawdziwą niepodległość w dzisiejszych czasach?*

- W Polsce nie docenia się elementu siły w polityce i stąd to dobre samopoczucie, które się utrzymuje.

- *A przecież endecja, która była dominującym składnikiem myśli politycznej w Polsce przed wojną...*

- No tak, tylko że endecja w tej chwili składa się z epigonów tej myśli i w tej chwili głównym zmartwieniem endeków, zwłaszcza środowiska skupionego wokół Myśli Polskiej, jest taki lęk, czy

przypadkiem Rosji jakaś krzywda się nie dzieje z naszej strony. Tylko to zostało z tej całej myśli i jest to więc bardzo niewiele i ja czasami pół żartem, ale i pół serio im zarzucam, że oni są narodowcami, ale pomyliły im się narody.

- *Mówi Pan bardzo często – i to jest kategoria, która weszła dzięki Panu do publicystyki – rozwiadka. Wiadomo, że ona jest różna, jedni się przewerbowali na prawo, inni na lewo, więc jest to środowisko podzielone, o którym niewiele możemy powiedzieć, ale zastanawiające jest to, czy polska rozwiadka może być polska. To znaczy czy, tak jak w przypadku Rosji, która przez rozwiadkę Putinową doznała odrodzenia po okresie załamania jelicynowego. Czy w Polsce możliwe jest, czy jest taka szansa, że taka grupa będzie myślała w kategoriach interesu państwowego?*

- Szansa zawsze jest, chociaż ja bym specjalnie tam wagi wielkiej do tego nie przywiązywał. Chociaż właściwie byłoby to najprostsze, gdyby ci ludzie zaczęli myśleć kategoriami interesu państwowego.

Mówiąc tak między nami, na dłuższą metę i dla nich to byłoby opłacalne, problem w tym, że ja nie widzę, żeby oni tymi kategoriami myśleli. Też się zastanawiałem nad tym, dlaczego tak jest, dlaczego rozwiadki innych państw, po swojemu, bo po swojemu, ale jakoś o swoje państwa dbają. Nie tylko Rosja, bo pan słusznie zauważył, że Putin, który nawet nie ukrywa, że to służby, on jest rzecznikiem służb rosyjskich, rzeczywiście wzmocnił Rosję, przewyciężył ten okres smuty za Jelcyne panującej i można tam mieć zastrzeżenia do różnych jego posunięć, ale Rosja wygląda znacznie lepiej niż w połowie lat 90., kiedy rzeczywiście sprawiała wrażenie bliskiej rozpadu.

Nie tylko Rosja, ale również Francja. Jest taka książka, wywiad-rzeka, który przeprowadza pani Krystynę Ockrent z Aleksandrem de Marenches, byłym szefem wywiadu francuskiego. I w pewnym momencie pyta go, z jakich środowisk rekrutują się konfidenci rozwiadki francuskiej? A on taki oburzony mówi, że konfidenci to są w policji, "u nas to są honorable correspondent".

No to ona mówi, to z jakich środowisk ci honorable correspondent się rekrutują, na to on, już taki udobruchany, mówi, że z różnych. Może to być kierowca taksówki, duchowny, a nawet minister stanu.

Więc we Francji ministrowie stanu są honorable correspondent, czy bywają honorable correspondent, czyli i tam rozwiadka poprzez ministrów stanu jakoś wpływa na sytuację.

Ja się zastanawiam, dlaczego francuska rozwiadka dba o Francję, dlaczego rosyjska rozwiadka dba o Rosję, a nasza nie. Doszedłem do takiego wniosku, że tajne służby w tamtych państwach zawsze służyły własnemu państwu, bez względu na jego ustrój itd. Natomiast nasze tajne służby od 1944 roku zawsze służyły komu innemu i one inaczej nie potrafią. Gdyby w jakimś momencie została przerwana ta fatalna ciągłość...

- *Janusz Szpotański kiedyś mówił, że w przeciwieństwie do PRL, Związek Sowiecki był państwem niepodległym.*

- No tak, Związek Radziecki był państwem niepodległym, a nasi się orientują na Związek Radziecki, tylko Związek Radziecki zmienia położenie, raz jest na wschodzie, raz jest na zachodzie, a poza tym nic się nie zmieniło.

- *Mówił Pan o tajnych stowarzyszeniach, rozwidce, a co z masonerią, która w końcu jest jedną z sił w polityce światowej i w całym nurcie globalizacyjnym?*

- Ja uważam, że masoneria spełnia dwojakie funkcje w dzisiejszym świecie. Oni się tam reklamują, że uprawiają sztukę królewską, ale co to za sztuka? Ona może w średniowieczu stanowiła wiedzę

tajemną, ale teraz jest jawnie nauczana na wszystkich politechnikach świata, a więc to nie jest jakaś wiedza tajemna.

Natomiast sztuka królewska, którą masoneria uprawia, to jest skryte manipulowanie wielkimi masami ludzi za pomocą różnych socjotechnik. Edukacji, mediów, przemysłu rozrywkowego. I tu myślę, to jest jeden nurt.

Masoneria jest taką organizacją nepotystyczno-korupcyjną. Podam przykład włoskiej loży Propaganda Due. Jak była operacja we Włoszech "Czyste ręce", to w każdym przypadku, gdzie tam się dobrali ci prokuratorzy i sędziowie śledczy, w każdym przypadku dogrzebywali się takiego robaczka w postaci loży Propaganda Due. Więc to potwierdza te poszlaki, że masoneria jest organizacją nepotystyczno-korupcyjną. Popierają się wzajemnie, ale działa poprzez korumpowanie ludzi. Drugim takim sposobem działania masonerii jest to, że – na przykładzie Wielkiego Wschodu Francji.

*- O którym najmniej wiadomo...*

- Trochę tam wiemy jednak. Mnie to zresztą pewien mason powiedział, taki zaprzyjaźniony, że pepinierą Wielkiego Wschodu Francji są dwie instytucje państwowe – drugi oddział Sztabu Generalnego, czyli wywiad, i Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Ponieważ Wielki Wschód Francji utajnia członkostwo, to w tej sytuacji loże masońskie mogą być znakomitą przykrywką do penetracji wywiadowczej, i to się wzajemnie przenika i to się wzajemnie uzupełnia. Być może, że jeszcze są masoni, którzy myślą, że to wszystko naprawdę, i wyciągają pierwiastek kwadratowy z wymiaru świątyni Salomona, myślą, że to jakieś otchłanne tajemnice się za tym kryją, ale to są tacy pożyteczni idioci.

*- Ale myśli Pan, że centrum dyspozycyjne, centrum władzy jest jak gdyby poza masonerią, wykorzystuje masonerię do swoich celów, a nie masoneria wykorzystuje inne instytucje?*

- Myślę, że to jest sprzężenie zwrotne, bo na przykład w republice masońskiej francuskiej z przełomu wieku była afera generała Andre, który jako minister obrony prowadził politykę kadrową w armii francuskiej według kryteriów masońskich. Sekował oficerów katolików, czy w ogóle chrześcijan, a faworyzował oficerów, którzy nie mieli, a w każdym razie wyrzekali się ostentacyjnie jakichś związków z chrześcijaństwem.

Więc to jest sprzężenie zwrotne, te wpływy się przenikają. Nie da się tego uniknąć oczywiście, i wyrazem tego przenikania wpływów jest ideologia marksizmu kulturowego, jak sądzę, dominująca, a właściwie obowiązująca już w Unii Europejskiej, która jest projektem inspirowanym, przynajmniej częściowo, przez masonerię, że wymienię dwóch takich wpływowych masonów: Ryszarda de Coudenhove-Kalergi, który przed wojną jeszcze napisał książkę "Europe, puissance mondiale" ("Europa, mocarstwo światowe), w której przedstawił pewien projekt, i Józefa Hieronima Retingera, drugiego założyciela Klubu Bilderberg.

*- Honorowego sekretarza generalnego Unii Europejskiej.*

- Tak. I to są nieusuwalne ślady wpływu masońskiego na Unię Europejską. I teraz to wzajemne przenikanie owocuje sytuacją, że obowiązującą ideologią w Unii Europejskiej jest ideologia marksizmu kulturowego, czyli politycznej poprawności, ostentacyjnie wroga chrześcijaństwu.

*- Polska jest najciekawsza dla nas, więc chciałem zapytać o możliwości polskiego odrodzenia. Jak Pan ocenia społeczeństwo polskie teraz, polską młodzież? Czy widać jakieś szanse na przebudzenie, na kontestację tego porządku? W końcu młodzi ludzie lubią się buntować, lubią*

*kontestować zastany porządek.*

- Szansa jest i nawet już się objawiła, w pewnym przynajmniej sensie czy w pewnym fragmencie. Jediną w tej chwili taką masową grupą społeczną, która nie jest podatna na obowiązującą propagandę – uśmieje się pan – jest środowisko kibiców piłkarskich.

To ostatnia grupa społeczna, gdzie ostentacyjnie demonstrowany jest patriotyzm. Jak oni go tam rozumieją, to jest inna sprawa, ale przynajmniej się tego nie wstydzą, w odróżnieniu od takiego Kuby Wojewódzkiego, którego marzeniem jest, żeby wszyscy uważali go za cudzoziemca, żeby mniej obciachowo wyglądał, a tamci nie, tamci są dumni z polskości itd., a co więcej, ten ruch, taki na poły chuligański, zaczyna nabierać coraz większego zabarwienia politycznego między innymi na skutek nieostrożności Donalda Tuska, który zaczął z nimi wojować. Jak on zaczął z nimi wojować, to oni się poczuli stroną wojującą i zaczynają się politycznie uaktywniać. I stąd, myślę, takie osłabienie notowań Platformy w tej chwili. I te głupstwa, które Donald zaczął robić, zaczął ich politycznie sekować, to oczywiście tylko wzmogło ich poczucie zagrożenia i utrwaliło w tym środowisku pogląd, że rząd zdradził sprawę polskiego interesu państwowego. Mówię, nie przywiązuję przesadnej wagi do tego, ale ten przykład pokazuje, że szansa jest, nigdy nie wiadomo, gdzie ona się pojawi, właśnie nieoczekiwanie akurat tu.

*- Ale kibole nie stanowią elity, a ta decyduje o przekazie medialnym, o programach nauczania, decyduje o rzeczach istotnych. Czy, Pana zdaniem, tym elitom, które są w Polsce, Polska jest jeszcze potrzebna? Czy nie jest tak, że te warianty rozbiorowe leżą w interesie "polskiej" elity, tego salonu i pozostaje tylko wybrać, komu się lepiej sprzedać, który wariant rozbiorowy jest najkorzystniejszy, czy może z Żydami, a może z Niemcami...?*

- I w tym sensie Polska jest im potrzebna, tylko w tym.

*- Elitom?*

- Tak. Już w żadnym innym. Oni już taką psychiczną decyzję wewnętrzną podjęli, już Polskę zdradzili. Teraz tylko pozostaje, jak tę zdradę korzystnie skapitalizować. Tylko to ich interesuje. Rozglądają się na boki, kto im więcej zaoferuje. Nie mam co do tych elit złudzeń, być może są tam jacyś ludzie wyjątkowi, ale nie są one zorientowane na zbudowanie jakiegokolwiek załączka siły państwa polskiego.

*- Czy, Pana zdaniem, ewentualne zwycięstwo PiS-u poprawi sytuację Polski jako takiej, czy jest to mała szansa?*

- Po pierwsze, chciałbym zwrócić uwagę – być może wielu ludziom to się nie spodoba, co powiem, ale powiem to – otóż, marzeniem Prawa i Sprawiedliwości, czyli Jarosława Kaczyńskiego, jest zmonopolizowanie patriotyzmu. Bez względu na to co robi, to na zasadzie, że "czysty typ nordycki bez mydła jest czysty", cokolwiek PiS zrobi, to jest "patriotyczne". Jeśli PiS popiera ratyfikację Traktatu Lizbońskiego, to nie robi tego ze zdrady i zaprzaństwa jak Platforma, która też to popiera, tylko z czystego patriotyzmu to robi. Ja bym trochę tak w cudzysłowie...

Chociaż bardzo wielu zwolenników PiS-u szczerze myśli, że to jest jedyny zaród zbawienia. Posłużę się sondażem Homo Homini, według którego Prawo i Sprawiedliwość ma tylko o dwa procent mniejsze notowania niż Platforma Obywatelska, Platforma 30 procent, a ci 28. Następny w kolejce jest Sojusz Lewicy Demokratycznej z prawie 14 procentami i z niecałymi siedmioma PSL. Ruch Poparcia Palikota jest notowany poniżej progu tej klauzuli zaporowej. Więc mamy do czynienia właściwie z perspektywą wejścia do Sejmu czterech ugrupowań.



Jeżeli maksymalny wynik sondażowy jest 30-procentowy, to znaczy, że żadne z nich nie uzyska bezwzględnej większości, nie mówiąc już o większości konstytucyjnej, tzn. wystarczającej do zmiany konstytucji.

Wobec tego musi powstać rząd koalicyjny, bo innego wyjścia nie ma. Rząd mniejszościowy nie jest w stanie niczego skutecznego zrobić, nawet abstrahując od istnienia razwiedki, bo to niepotrzebnie by nam zaburzało obraz sytuacji.

Otóż wykluczona jest, wydaje mi się, ze względu na wzajemny antagonizm, koalicja Prawa i Sprawiedliwości z Platformą Obywatelską. Taka koalicja mogłaby dać nawet większość konstytucyjną, ale to jest niemożliwe. Myślę, że bardzo mało prawdopodobna jest koalicja Prawa i Sprawiedliwości z Sojuszem Lewicy Demokratycznej, bo wprowadzie dla Polski to możemy wszystko zrobić, ale wydaje mi się, że dla PiS-u byłoby to zwycięstwo pyrrusowe, dlatego że część wyborców PiS-u, nawet gdyby im kazano zacisnąć zęby i zamknąć oczy, jednak by tego nie wytrzymała. Koalicja PiS-u z PSL-em jest za słaba.

Myślę, że PSL, jako ugrupowanie bardzo interesowne, i nie mam tu na myśli interesu narodowego czy państwowego, tylko interes partyjny, będzie chciało przyłączyć się do koalicji silniejszej, więc najbardziej prawdopodobna koalicja to jest koalicja Platformy Obywatelskiej z Sojuszem Lewicy Demokratycznej i PSL-em na dodatek, bo PSL sam będzie chciał się przyłączyć do silniejszego, a ci też będą woleli, żeby on był pod ich kontrolą, a nie gdzieś tam hulał, nie wiadomo gdzie, nie wiadomo co tam robił, więc lepiej będzie, jak będzie pod kontrolą. A PSL lubi być takim uczestnikiem silnej koalicji, bo to daje tej partii bardzo wymierne korzyści materialne.

Zatem, jeśli taki jest najbardziej prawdopodobny skutek wyborów, taki rząd koalicyjny, no to PiS nadal pozostaje w nieprzejednanej opozycji, jest osaczony ze wszystkich stron i wielkich zmian nie można się w tej sytuacji spodziewać, bo niby skąd by miały te wielkie zmiany przyjść.

Przeciwnie, można się spodziewać przyspieszonego ześlizgu po równi pochyłej, dlatego że Sojusz Lewicy Demokratycznej, jako potencjalny kierownik polityczny – a widzimy już, że te atuty, które jeszcze w 2007 roku niepodzielnie otrzymała Platforma Obywatelska, są już przesuwane w stronę Sojuszu Lewicy Demokratycznej – więc pewna symetria będzie tu zachodziła, a ktoś lepiej wykona dwa zadania, które ma wykonać rząd wyłoniony po wyborach: pojednanie z Rosją i uregulowanie roszczeń żydowskich.

Któż lepiej to zrobi od Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Nie ma nikogo, kto by to lepiej zrobił.

*- Mówiliśmy o tym, że razwiedka może być jakimś elementem państwowotwórczym, a co z polskimi przedsiębiorcami, w końcu w takich krajach jak Niemcy wielkie korporacje finansują tę ekspansję kulturową Niemiec. Czy w Polsce przez to, że działa jakiś kapitał polski, jakkolwiek słaby by był, czy ci ludzie myślą państwowotwórczo?*

- Niektórzy myślą, ale...

*- Czy jest ośrodek intelektualny, który popierają, który by formował te propozycje na przyszłość, patrzył, co można zrobić, żeby Polska była Polską?*

- Jest kilka takich ośrodków, takich *think-tanków*, które mogłyby odegrać jakąś rolę, ale nie mogą odegrać żadnej ważnej roli, bo one odgrywają rolę marginalną, raczej taką edukacyjną niż polityczną, a dlatego, że ustanowiony przy okrągłym stole, właściwie w tej Magdalence nieszczęsnej, model gospodarczy państwa, model ekonomiczny państwa w postaci kapitalizmu kompradorskiego, sprawia, że tymi przedsiębiorcami największego kalibru są ludzie z kręgu razwiedki. Oni mają przywilej funkcjonowania w głównym nurcie życia gospodarczego, natomiast wszyscy inni, którzy do tego towarzystwa nie należą, są wyrzucani poza główny nurt. Mogą tam sobie coś dłubać na marginesie, ale to jest na marginesie, natomiast główny nurt życia

gospodarczego kontrolują tajne służby. I to też niejednorodne, tylko zwerbowane raz do tego, raz do owego, do państw ościennych.

W związku z tym sytuacja w Polsce jest takim rezultatem kompromisu, chwiejnej równowagi między tymi, użyję sformułowania pana ministra Sikorskiego, między tymi watahami bezpieczeniackimi.

- *Wczoraj była dziesiąta rocznica zamachów na wieżowce w Nowym Jorku. Czy Pan dopuszcza taką ewentualność, że ludzie, którzy wierzą w teorię spiskową, mają rację, że było to coś na kształt podpalenia Reichstagu?*

- Skutki by na to wskazywały, jak również pewne niewyjaśnione okoliczności samego wydarzenia sprawiają, że nie jesteśmy w stanie wierzyć bez reszty w to, co jest do wierzenia podawane.

Za dużo jest niewiadomych, za dużo jest wątpliwości. Być może że na tych wątpliwościach żerują ludzie tworzący najbardziej fantastyczne teorie spiskowe. Te najbardziej fantastyczne, jak sądzę, to są tworzone przez pierwszorzędnymi fachowców, którzy mają za zadanie uszczelnienie tej wersji podanej do wierzenia i pozbawienie wiarygodności wersji innych właśnie poprzez nadawanie im fantastycznych kształtów, takich jakichś niesamowitych. Więc to oczywiście widać, że to na pewno jakieś służby maczają w tym palce, a jeżeli maczają, to znaczy, że jest coś do ukrycia. Nie wiem co, ale są bardzo różne hipotezy na ten temat i wiele z nich bardzo jest dobrze uzasadnionych. Tak że ja bym tak całkiem ich nie odrzucał, natomiast jak jest naprawdę, to oczywiście nie wiem.

- *Śp. prezydent Lech Kaczyński doprowadził do dużego zbliżenia polsko-izraelskiego, np. w dziedzinie współpracy wojskowej, czynił też różne gesty. Czy, Pana zdaniem, można twierdzić, że prezydent Kaczyński liczył na swego rodzaju protekcję Izraela dla interesów polskich?*

- Jeśli liczył, to byłby to dowód wielkiej lekkomyślności.

- *Dlaczego zatem to robił?*

- Myślę, że robił to dlatego, że postawił wszystko na Stany Zjednoczone i być może, że takie były uwarunkowania partnerstwa Polski ze Stanami Zjednoczonymi. Ja oczywiście nie wiem, czy takie były, ale z uwagi na pozycję Izraela w polityce amerykańskiej całkiem śmiało mogę przypuszczać, zakładać, że takie uwarunkowania były.

Moim zdaniem, to właśnie, że pan prezydent Kaczyński nie zabezpieczył dostatecznie polskiego interesu państwowego, było dowodem jego naiwności, bo prezydent Kwaśniewski robił takie same rzeczy, z takim samym efektem może, ale on to robił z nikczemności, podczas kiedy prezydentowi Kaczyńskiemu nie mogę takich pobudek przypisać. Mogę mu przypisać naiwność, albo nawet pewne safandulstwo.

- *Kiedyś widziałem Pana w Zamku Królewskim podczas imprezy reklamującej książkę o biskupie Lefebvre. Czy tradycja katolicka jest dla Pana lepszą formą religijności niż katolicyzm posoborowy?*

- Wiara jest sprawą prywatną, taką którą człowiek przeżywa w swoim sercu, natomiast zupełnie inną rzeczą są formy manifestowania religijności i bym raczej w tych kategoriach oceniał ten nurt tradycyjny w Kościele.

- *Nie ma tutaj przeciwieństwa?*

- Nie, przynajmniej nic o tym nie wiem. Ani środowisko tradycjonalistyczne nie tworzy żadnych dogmatów, raczej chodzi im o rozkładanie akcentów i pewne formy liturgiczne, zewnętrzne, formy

oddawania czci Bogu. Są to wprawdzie formy, ale wyrażają one pewną treść. I zdaniem tradycjonalistów – nie jestem jakimś ekspertem – zaniedbanie pewnych form liturgicznych świadczy o zaniedbaniu pewnych treści, które one wyrażały. Chyba coś w tym jest. Myślę, że jeśli chodzi o sam Kościół, który jest podzielony choćby w taki sposób – nawiążę do tego, co mówiłem na spotkaniu, że ludzie nie oczekują od Kościoła, że będzie im dostarczał rozterek, ludzie mają rozterek dosyć i bez Kościoła. Jeśli Kościół zacznie im dostarczać rozterek, jeśli Kościół sam zacznie być poszukujący, jak to się mówi, to ludzie nie będą mieli żadnego powodu, żeby się do Kościoła garnąć. Ludzie się garną do Kościoła dlatego, że myślą, że Kościół im będzie dostarczał pewności. Jeśli Kościół przestanie im dostarczać pewności, no to oczywiście że oni się do Kościoła przestaną garnąć. I myślę, że ten nurt tradycjonalistyczny dostarcza całkiem sporo pewności. Może nawet aż za dużo.

*- Brał Pan udział w zjeździe USPAŁ-u. Jak Pan ocenia możliwość jakiegokolwiek pomocy w poprawieniu położenia narodu polskiego przez emigrację?*

- Myślę, że w związku z rozwojem sytuacji w Polsce, emigracja może odegrać bardzo dużą rolę. Nawet się obawiam, czy będzie w stanie sprostać odegraniu tej roli, dlatego że rozwój sytuacji w Polsce może doprowadzić do tego, że obszar Polski, naród polski, ten trzon narodu polskiego, może zostać zdominowany przez elementy narodowo obce.

Wydaje mi się, że już teraz trzeba zacząć myśleć o jakimś wyjściu naprzeciw temu zagrożeniu i myśleć nad stworzeniem takiego ośrodka dyspozycji politycznej polskiej poza Polską. Na zjeździe USOPAŁ-u mecenas Ryszard Parulski wysunął ideę rozpoczęcia tego procesu od utworzenia skarbu narodowego wzorem Ligi Polskiej w wieku XIX, co rzeczywiście do wielu rzeczy się przyczyniło i bardzo pozytywną rolę odegrało. Więc myślę, że dobrze by było, by ta idea wśród patriotycznie nastawionych – a wiem, że to są bardzo liczne środowiska polonijne tutaj – jakoś znalazła prawo obywatelstwa.

*- Nie sądzi Pan, że te środowiska też są przez rozwiadkę rozpracowane?*

- Myślę, że tak, ale myślę też, że wokół konkretnej sprawy można dokonać politycznej integracji, jeśli nie wszystkich, to w każdym razie większości środowisk. Dowodem na to jest sukces Edwarda Moskala, który pod petycją do Kongresu Stanów Zjednoczonych w sprawie przyjęcia Polski do NATO zgromadził 9 milionów podpisów.

*- Ale wówczas rozwiadka temu nie przeszkadzała.*

- To może nie 9 milionów, ale 8, w każdym razie to już by było lobby polskie na terenie amerykańskim, które mogłoby bardzo wiele dobrego dla Polski zrobić, dla polskiego interesu państwowego. Tak że myślę, że warto tę ideę upowszechnić.

**- Dziękuję bardzo za rozmowę.**

**Rozmawiał: Andrzej Kumor**

\*\*\*

## **Frazesy**

Różne są sposoby walki. Wybranie właściwej broni to fundament każdego zwycięstwa. Bierny opór był skuteczną metodą w zetknięciu z brytyjskim kolonializmem, ale terror okazał się lepszy w Palestynie, gdzie Żydzi wywalczyli własne państwo.

Bierny opór jako metoda walki nikomu nie przyszedłby do głowy w stalinowskiej Polsce, ale już za Gierka w "pohelskim duchu" było to do pomyślenia i umocowane za granicą środowiska mogły ugrać małe ustępstwa.

Polska nam ostatnio lekko ożyła, a to za sprawą nowego etapu kryzysowych "reform". Przez kraj przeszła fala protestów przeciwko ACTA, setki tysięcy demonstrują przeciwko pozbawieniu Telewizji "Trwam" możliwości nadawania cyfrowego, protestowali kibice; niedawno, w wyjazdowym proteście zorganizowanym przez "Gazetę Polską", Polacy odkurzyli tradycyjną przyjaźń z Węgrami. Wydawać by się mogło, że wreszcie coś drgnęło i "wiosna będzie nasza". Tym bardziej że nawet stetryczały PiS zachęcił się do ulicznego manifestowania i zamierza zorganizować niebawem kilkuset tysięczny marsz.

Czy to pomoże? Na dwoje babka wróżyła, jednak z ogłaszaniem wiosny narodów w III RP byłbym ostrożny. Dlaczego? Bo żyję na tyle długo, by być świadkiem kilku manipulacji, które wyciągały ludzi na ulice lub na strajk po to tylko, by uwiarygodnić kolejne rozdanie znaczonych kart. Najlepszy przykład to protesty i strajki 1988 roku.

Socjotechnika tego rodzaju stosowana jest pod każdą szerokością geograficzną – czeską "aksamitną rewolucję" agenci bezpieczeństwa robili tak nachalnie, że musieli dzwonekami zapędzać na barykady oszołomiony obrotem spraw "lud protestujący". W Rumunii do tej pory nierozpoznani snajperzy strzelali do przechodniów z dachów, aby nowy stary aparat mógł odciąć balast Ceausescu.

Nie wiadomo do końca, kto robił "arabską rewolucję" w Egipcie, ale efekt tej rewolty jest taki, że władzę objęła junta starych generałów, zaś nowo wybrany "parlament" od czasu do czasu wyda sobie jakieś modne oświadczenie.

Piszę o tym dlatego, żeby nie okazało się czasem, że w rezultacie ulicznego wrzenia uzyskamy w Polsce "rząd zgody narodowej" jakiegoś nowego PiS-u z PO pod wodzą, dajmy na to, Schetyny czy innego figuranta obecnego układu władzy, przy jednoczesnym spacyfikowaniu nastrojów społecznych na kilka lat i uzyskaniu przyzwolenia dla "koniecznych reform", czyli zapięcia obroży ciaśniej o jedną dziurkę.

Ludzie są sfrustrowani i tzw. władza doskonale zdaje sobie z tego sprawę, chodzi więc o manewr, który władzę pozostawi nietkniętą w tym samym ośrodku, przy jednoczesnej poprawie nastrojów. Trzeba trochę pary upuścić. W tym celu kanalizuje się niezadowolenie i tworzy sztuczne problemy – jak choćby kwestie wypisywania recept czy brak rejestracji Telewizji "Trwam" na nowej platformie cyfrowej. Są to "problemy" wrzucone, wytworzone jednym ruchem długopisu, a angażujące olbrzymią energią społeczną i środki Polaków.

Polska, aby się podnieść, wymaga rewolucji; wymaga zerwania umowy okrągłostołowej, wymiany elit, a przede wszystkim prawdziwego odzyskania suwerenności, nie zaś tworzenia wrażenia niepodległości.

Tymczasem nawet ludzie, którzy – wydawałoby się – są stuprocentowo wiarygodni, jak Antoni Macierewicz, podczas wystąpień publicznych mówią o obecnym kadłubie państwowości polskiej jako o Niepodległej. Człowiek, który widział z bliska, jak to "państwo" reagowało na katastrofę smoleńską, mówi dzisiaj, że robotnikom z Gdańska zawdzięczamy niepodległość.

Jaką niepodległość?! Tę w ramach UE, czy tę, która zostaje po zrealizowaniu interesu niemieckiego, rosyjskiego, żydowskiego czy jakiego tam jeszcze?!

Frazesy padają gęsto jak śnieg w lutym. Podczas demonstracji gdańskiej inny mówca – pani polityk – uznała, że dzięki owemu demonstrowaniu świat zobaczy, że “Polacy pragną wolności”.

Cóż, ponieważ mieszkam “w świecie”, więc na co dzień widzę, że świat ma w nosie to, czego pragną Polacy, o ile w ogóle o nich słyszał. To nie “świat” ma być odniesieniem polskiej polityki i polskich ruchów społecznych, lecz polski interes narodowy. Rzeczą tę trzeba powtarzać do znudzenia, po to by nikt w Polsce nie uprawiał manipulacji, jeżdżąc jak na starej chabecie na prowincjonalnym kompleksie Polaków, czy też posługując się chwytem “na stolicę”.

Chodzi wreszcie o to, byśmy się dopracowali polskich elit, polskiego lidera, a co najważniejsze, narodowego programu – czyli prostego opisanie tego, co jest w polskim interesie. Na razie zaś opowiadanie głodnych kawałków o nowej “wiośnie ludu” jest albo nadpobudliwą reakcją na wiosenne powietrze, albo podgatówką nowego wirażu, który pozostawi nietknięty układ władzy poprzez dokooptowanie kilku dzisiejszych malkontentów i krzykaczy.

We frazesach debat politycznych polskiej opozycji niepokoi też niedojrzałe odgrzewanie nadziei na Amerykę. Proszę o tym zapomnieć i poczytać, co piszą sami Amerykanie – jak chociażby Zbigniew Brzeziński. Ameryka się “cofa” i jest co najmniej osiem poważnych tego następstw, a wszystkie pachną wojną. Brzeziński w tekście “8 Politically Endangered Species” w “Foreign Policy” pisze, że regres Ameryki spowoduje: *1. pozostawienie Gruzji w gestii Rosjan, 2. oddanie Tajwanu pod chińską kuratelę, 3. oddanie bezpieczeństwa południowej Korei pod chiński arbitraż, 4. oddanie Białorusi Rosji w “reabsorpcję”, 5. rezygnację z prób odciążenia Ukrainy od Rosji, 6. walkę o wpływy w Afganistanie między Pakistanem, Iranem a Indiami, 7. utratę Pakistanu jako sojusznika w regionie, 8. destabilizacją Bliskiego Wschodu i wciągnięcie USA w wojnę z Iranem.*

To tak na marginesie.

Polska wymaga restauracji i zaczynamy tę rewolucję od poważnego rozeznania w sytuacji, a przy okazji rugujemy z otoczenia agentów wpływu, pożytecznych idiotów oraz wszelkiej maści fantastów. Czas na realizm. Czas na kubeł zimnej wody.

\*\*\*

## **W przededniu operacji “Estera”**

No wygląda na to, że będzie wojna. Z czego wróżę? Z Księgi Estery.

Jak podaje “The Jewish Daily Forward”, Bibi Netanjahu podarował Obamie właśnie ten kawałek Starego Testamentu. Księga znana jest także w naszej tradycji, a opowiada o spisku przeciwko Żydom.

“Największemu dostojnikowi dworskiemu Agagitowi Hamanowi udało się wymóc na królu dekret przeciw Żydom, Estera, królewska nałożnica, stawiała się jednak przed królem i przekonała władcę do cofnięcia dekretu, wyjawiała przy tym królowi, że Haman wydał ją wraz z jej ludem na zagładę. Haman zostaje powieszony, a Żydom król zezwala zgładzić swych wrogów. 14 dnia miesiąca adar Żydzi zabijają 75.000 swoich wrogów. Następnego dnia zgładzono także wszystkich synów Hamana i innych wrogów. Na pamiątkę tych wypadków Żydzi obchodzą święto Purim”.

Czy podarowanie Księgi Estery to aluzja? Skądże znowu! Jak mawiała w takich sytuacjach matka mojej szkolnej sympatii, “żadna aluzja, to było powiedziane wprost”.

Netanjahu przypieczętował rzecz zaraz następnego dnia, stwierdzając, że czas dyplomacji dobiega końca. Cóż było Obamie robić – zaproponował kolejne negocjacje...

Sytuacja jest trudna. Iran to nie Irak. Iran ma przyjaciół. A co ważniejsze, od lat działa w sytuacji zagrożenia wojną i różnych ataków niekonwencjonalnych. Dlatego m.in. sankcje są nieskuteczne. – Irańczycy nauczyli się eksportować ropę mimo drakońskich kar za obsługę finansową ich handlu (są instytucje, które nie są narażone na rynku USA na odwet, gotowe pośredniczyć w transakcjach). Po drugie, Iran sprzedaje ropę za złoto i barterowo za zboże - a jak wiadomo – kapitał jest jak woda – zawsze poszuka sobie drogi przez nieszczelności.

Iran zbroi się też gwałtownie i przygotowuje do wojny.

Dlatego m.in. Stany Zjednoczone – zwłaszcza teraz, gdy idą wybory prezydenckie – nie chcą zaczynać żadnej awantury. Nie za bardzo też mają za co. Jednym z przyjaciół Iranu są Chińczycy, a ci kredytują Amerykę i jej wojny.

Rozpoczęcie działań w Iranie wbrew Chińczykom oznaczałoby konieczność drastycznych i radykalnych zmian finansowych – zawieszenia handlu długiem czy czegoś podobnego. To oczywiście jest sprzeczne z chińskimi interesami i grozi wciągnięciem Pekinu do konfliktu.

Dlatego mimo strojenia dobrych min Bibi nie zaznał w Waszyngtonie entuzjazmu. Tym bardziej, że Obama wyglądał już na sesji zdjęciowej na wyraźnie spiętego, wysuniętymi czułkami obawiając się paternalistycznych gestów ze strony Netanjahu.

Waszyngton zdaje sobie sprawę, że ewentualna wycieczka antyirańska może być jak strzały z pancernika Schleswig-Holstein. Region już jest podpalony, teraz może wybuchnąć. Wojna pozwala też rozwiązać wiele spraw wydawałoby się nie do rozwiązania, przede wszystkim problemów finansowych.

Wojna, bez chińskiego skinienia głową, mogłaby oznaczać odcięcie Ameryki od bazy produkcyjnej, a tego “ubytku” szybko nadrobić się nie da. Tak czy owak, Żydzi to ludzie uparci i butni; wiele razy grali va banque nie wahając się prowokacjami wciągać Ameryki (i nie tylko) w swoje sprawy. Taką operacją był na przykład atak na okręt rozpoznania radiowego USS “Liberty” w czasach wojny sześciodniowej. Do tej pory do końca niewyjaśniony, choć jest wiele ciekawych spekulacji.

Jedna nich mówi, że gdyby Żydom udało się zatopić amerykańską jednostkę bez szmeru i zrzucić winę na Egipcjan, mogliby wciągnąć USA do wojny przeciwko Egiptowi. Ponoć Lyndon Johnson wysłał już uzbrojone w pociski atomowe samoloty na Kair z lotniskowca na Morzu Śródziemnym – ale piloci zawrócili, kiedy okazało się, że “Liberty” jest atakowana przez Żydów. – A ta informacja nadeszła dopiero, gdy załoga zdołała postawić główną antenę odstrzeloną zaraz na początku nalotu.

Inna wersja zakłada, że Mosze Dajan nie chciał, aby Amerykanie znali wszystkie okoliczności wojny, jak np. to, że wydał rozkaz do zaatakowania Syrii i zajęcia Wzgórz Golan cztery godziny po tym, jak Damaszek przyjął rozejm.

Trzecia wersja opisana w wydanej w 1981 roku książce “Weapons” Russella Warrena Howe’a wskazuje, że “Liberty” towarzyszyła w pełnym zanurzeniu łódź podwodna USS “Andrew Jackson” z pociskami Polaris na pokładzie. Jej zadaniem był atak na izraelskie silosy raketowe na pustyni Negev, gdyby Żydzi zdecydowali się strzelić nimi w Kair, Damaszek czy Bagdad, zmuszając tym samym Sowieców do riposty, co groziłoby III wojną światową.

Jeszcze inne wyjaśnienie daje James Bamford, który uważa, że okręt został zaatakowany, aby nie wyszła na jaw masakra egipskich jeńców wojennych w pobliskim El-Arish. W 1995 roku odkryto tam zbiorowe groby, a weterani żydowskiej wojny sześciodniowej twierdzą, iż Egipcjanom rozkazano

wykopać doły, a następnie zastrzelono.

Tak czy owak, wiadomo, że gdy chodzi o Izrael, Żydzi mają w nosie wszystko inne. Dlatego też mogą się pokusić o wciągnięcie Amerykanów do wojny, rozpoczynając konflikt sami np. wraz z polskimi czy rumuńskimi sojusznikami.

Gdy już będzie gorąco, poproszą Waszyngton o wywiązanie się z obietnic bezpieczeństwa.

Tak czy owak, zaczynają się dziać rzeczy poważne i obecny rok przyniesie rozstrzygnięcia zaspokajające naszą ciekawość.

\*\*\*

### **Mocnych wrażeń nie zabraknie**

Najskuteczniejszą metodą walki jest podstęp – wytrych, przy pomocy którego skrzywiamy przeciwnikowi rozpoznanie rzeczywistość, tak by “z własnej woli” robił coś, czego wcześniej nie bylibyśmy w stanie za żadne skarby wymusić.

Naszą sytuację można dzisiaj opisać właśnie jako taką grę pozorów; pozorów bogactwa, pozorów wolności, pozorów demokracji.

“Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą” – pouczano jeszcze 50 lat temu, a tymczasem od 20-30 lat całe pokolenia mieszkańców Ameryki Północnej są przekonane, że “bogacą się” ci, którzy żyją na kredyt; po raz pierwszy w historii rządzący dokonali interwencji rynkowej na masową skalę, zamieniając na krupierskie żetony efekty pracy setek milionów ludzi; po raz pierwszy poprzez manipulację stopami procentowymi przerwali normalny cykl gospodarczy.

W jakim celu?

Zacznijmy od początku.

1. Przeprowadzone przez globalistów przesunięcie produkcji i usług do Azji mogłoby prowadzić do niebezpiecznego dla stabilności społecznej obniżenia poziomu życia w krajach Zachodu, wszak gospodarki tych państw straciły miliony wysoko płatnych miejsc pracy w sektorze wytwórczym i nowych technologii.

2. Ulokowanie produkcji w Azji nie miałyby sensu, gdyby nawet przy niskich “chińskich” cenach nie było komu jej kupować. Konsumpcję nakręcił więc kredyt, ten plastikowy na karty, ale przed wszystkim ten wytworzony przez rekordowe wzrosty cen nieruchomości.

Aby uwolnić kredyt i doprowadzić do wzrostu cen domów, obniżono stopy procentowe. Tani kredyt skłonił ludzi do zapożyczania się, a właścicielom coraz droższych domów (w ciągu 10 lat ceny wzrosły dwukrotnie) dał poczucie bogactwa i pozwolił pożyczać pod zastaw rosnącej wartości nieruchomości.

Z kolei nabywcy tych coraz droższe domów przestali myśleć o spłacie zaciągniętych zobowiązań, a raczej – niczym w kasynie, grali na zwyżkę, licząc, że wartość ich majątku będzie dynamicznie rosła. Liczyli, sądząc po doświadczeniach 20 lat, że ceny domów bez pracy i oszczędzania stworzą ich majątek, pozwalając na dostatnie życie “pod zastaw nieruchomości”.

3. Dzięki temu, mimo nikłego wzrostu wydajności pracy, utraty stanowisk w produkcji i generalnej stagnacji dochodów klasy średniej (nawet spadku) – rosło spożycie, a mieszkańcy kontynentu kupowali coraz więcej azjatyckich towarów i usług. Niektórzy, od czasu do czasu, spieniężali “wygraną”, realizując żetony w kasie – sprzedając nieruchomości (niewielu jednak postanowiło



całkowicie odejść od stołu – gdyż zaraz kupowali następne).

4. Ludzie nie są głupi, dlatego jeśli coś się opłaca, to to robią – całe pokolenie wyrosło w sytuacji, gdy oszczędzanie jest mało skuteczną strategią dorabiania się.

Miraż dobrobytu tworzy dzisiaj możliwość pozyskania znacznych i nieprzystających do wysokości dochodów sum kredytowych głównie zabezpieczonych na hipotecę. Doprowadziło to do zmiany struktury oszczędności. Większość “zwykłych ludzi” posiada jedynie “oszczędności” wygenerowane przez wzrost rynku nieruchomości.

Całe pokolenie żyje w przeświadczeniu, że stopy procentowe muszą być niskie, a ceny domów będą rosły w nieskończoność. Odkładanie na czarną godzinę zostało zastąpione przez spodziewany wzrost wartości posiadanego domu/domów.

Tymczasem nawet z tym “posiadaniem” jest kulawo; przy tak wysokich cenach większość młodych kupuje domy, wybierając 35-letni okres amortyzacji, i ma nadzieję na spłacenie całego zadłużenia pod koniec aktywnego życia zawodowego w wieku przedemerytalnym. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu okres amortyzacji pożyczek hipotecznych wynosił 10 lat, a ludzie 30-letni mieszkali we własnych domach.

Przytaczam te fakty, żeby pokazać, że wycofanie się ze ślepej uliczki, w którą nas eksperymentalnie zapędzono, nie będzie łatwe i bezbolesne. Między innymi dlatego, że wiązać się musi ze zmianą mentalności nowej generacji Kanadyjczyków.

Na razie mieszkamy sobie spokojnie, ciesząc się, że byle psia buda kosztuje pół miliona. Problem w tym, że pracujemy na spłatę, i w tych domach głównie oszczędzamy. Jeśli z rynku ujdzie powietrze, wraz z nim ulotnią się jak najbardziej realne efekty naszej krwawicy – spłacanego co miesiąc mortgage’u.

Czyż nie jest więc tak, że ktoś nam zafundował jakąś gigantyczną piramidkę finansową? Że daliśmy sobie odebrać realny dobrobyt, zastępując go pozorami? Czy ktoś nie wepchnął nas do kasyna po to, by grać znaczonymi kartami?

Kredyt ma to do siebie, że po jakimś czasie rozlega się smutne wołanie: “Panie płacić!”.

Sprawy zaszły daleko i bezmiar zadłużenia nie jest już problemem zadłużonych, lecz nas wszystkich; domaga się rozwiązań systemowych. Od tych wyśrubowanych cen nieruchomości dzisiaj wszystko zależy, od usług komunalnych po podatki federalne, gdy rynek się siodzi, trzeba będzie niedobór w jakiś sposób zastąpić...

Wszystko to w imię realizacji projektu globalizacyjnego Ein Volk, Ein Reich – Fuehrer – wygląda na to – pozostaje tylko tym razem zbiorowy. W ten sposób za naszym przyzwoleniem rozwalono piękny i dobrze zarządzony kraj, wpychając korab na poroży. Pozostaje mieć nadzieję, że po drodze nie będzie wodospadu, choć mocnych wrażeń z pewnością nie zabraknie.

\*\*\*

## **Uderzająca egzotyka**

Podobno szef izraelskiego lotnictwa szczyli się wyczynem nad Auschwitz, kiedy to jako dowódca trójki F-15 zaordynował przelot nad obozem, “salutując” pomordowanym, w ceremonii, w której uczestniczyły też inne formacje izraelskiej armii. Żydzi wracali właśnie samolotami z pokazów w Radomiu i mieli pozwolenie na przelot na wysokim pułapie, tymczasem bez pozwolenia polskiej kontroli przestrzeni powietrznej zniżyli się tak, by zebrani na terenie obozu mogli ich zobaczyć, i wykonali jedną ewolucję.

Pisałem wówczas, że to skandal, że tego rodzaju przelot odbył się bez towarzystwa polskich samolotów, okazuje się, że było jeszcze lepiej – dowódca owych samolotów, obecny generał i szef lotnictwa Izraela Amir Eszel, postanowił, że nie podporządkuje się Polakom – bo “przez 800 lat musieliśmy ich słuchać, ale teraz już się ich słuchać nie musimy”. Ewolucje izraelskich F-15 obejrzałem sobie w YouTube, na propagandowym filmie ichniej armii – powiedzmy – nic wielkiego się nie stało, bo znów, Żydzi nie latali tak nisko, by zrywać czapki z głów – chodzi jedynie o bezczelność, o sam fakt pokazania Polakom środkowego palca.

Potwierdza to raz jeszcze, że niby-przyjazne stosunki z Izraelem, jakimi szczycą się rządcy III RP, mają całkiem niesymetryczny charakter.

Co Polska daje Żydom?

- Polisę ubezpieczeniową na wypadek skażenia w rezultacie wojny;
- Lebensraum ewakuacyjny;
- De facto pasaż do Unii Europejskiej, której obywatelami automatycznie stają się Żydzi pozyskujący polskie paszporty;
- Poparcie dyplomatyczne na wszystkich frontach;
- Duży rynek dla przemysłu zbrojeniowego;
- Możliwość pozyskania żołnierza.

Właśnie przeczytałem o wspólnych lotach ćwiczebnych polskich F-16 z izraelskim lotnictwem nad pustynią Negev. Ćwiczenia mają symulować walki powietrzne i atakowanie celów naziemnych. Czyżbyśmy więc mieli też w myśl realizacji tego niesymetrycznego sojuszu wybierać się z Żydami na Iran wspólnie z “wojskami koalicyjnymi” (rumuńskimi?).

Niedwuznacznie zasugerował to w “Rzeczpospolitej” Piotr Zychowicz, że w sytuacji, gdy “izraelskie samoloty zaczną bombardować Iran, izraelskim dyplomatom po takich wypowiedziach jak Eszela, trudno będzie uzyskać poparcie w Warszawie”.

Powiem uczciwie, nie ma to żadnego znaczenia – Żydzi wiedzą, że w Polsce i wobec Polaków mogą sobie pozwolić na bardzo wiele. Być może nie jesteśmy jeszcze ich “terytorium zależnym”, ale jest blisko. Partia prożydowska ma w Warszawie silne umocowanie.

Wspomniany Zychowicz przytacza znanego publicystę Jeffrey Goldberga, który napisał: “Nad Auschwitz Eszel dokonał symbolicznej zemsty na Polakach, którzy upokarzali Żydów w trakcie stuleci, które doprowadziły do Holokaustu. – Jego ówczesny dowódca uznał, że ten przelot był najlepszym dowodem, że syjonistyczne przekonanie, iż Żydzi mogą liczyć tylko na siebie, jest prawdziwe”. A więc może chodzi po prostu o to, że dzisiaj Żydzi mogą się na nas odegrać i psychicznie odreagować.

Jeśli słowa Eszela rzeczywiście uznać za parafrazę myślenia Żydów o Polsce, to znaczy, że zwolennicy wyjątkowego strategicznego sojuszu z Izraelem niebezpiecznie chwycili się brzytwy.

Była to nigdy nieopublikowana oficjalnie koncepcja oparcia zabezpieczenia Polski na Izraelu. To m.in. efektem tej właśnie koncepcji jest ścisła współpraca wojskowa Izraela i RP, polegająca głównie na sprzedaży Polsce izraelskiego sprzętu. Zwolennikiem tego pomysłu był b. prezydent ś.p. Lech Kaczyński.

Opiera się on na kilku założeniach centralnych:

1. Pozycja Niemiec będzie się umacniać i w naturalny sposób zagrażać Polsce, która po wojnie uzyskała znaczne tereny poniemieckie.
2. Rosja będzie dążyła do odbudowy strategicznej pozycji w Europie, zaś układ o ograniczenia

zbrojeń konwencjonalnych niejako potwierdził wyjątkowy status byłych państw satelickich.

3. Jako państwo satelickie jedynym krajem zdolnym zapewnić Polsce bezpieczeństwo są USA. Największy wpływ na politykę zagraniczną USA mają Żydzi.

4. Żydzi mają bliskie stosunki z Polską (obojętne dobre czy złe, ale stosunki).

5. Im więcej zaangażowania Izraela w Polsce, tym większe polskie bezpieczeństwo.

c.b.d.o.

No, niestety nie do końca...

Dzisiaj widać, że interes izraelski w Polsce nie zagwarantuje polskich nabytków powojennych na Zachodzie i ograniczać się będzie do zainteresowania "Krajem priwiślańskim". A nawet i to może nie, bo Izrael może sam mieć poważne kłopoty w dziedzinie zagwarantowania sobie bezpieczeństwa. Stąd też wspólne ćwiczenia polskich F-16 nad Negev...

Chwyciliśmy się więc brzytwy, która dzisiaj może nam sporo krwi upuścić.

Nie mówiąc już o innych aspektach tej sprawy.

Mimo bliskich kontaktów z Żydami, niestety za mało się od nich uczymy. A jest czego. Choćby owego "syjonistycznego przekonania", że powinno się liczyć tylko na siebie.

Tymczasem zamiast budować państwo polskie, szukaliśmy egzotycznych sojuszy. I one niedługo dadzą nam znać o sobie.

\*\*\*

## **"Costa Concorde" to żaden "Titanic"!**

Czy generał Błasik był w kokpicie; czy samolot zaczął się rozpadać na wysokości 30 m, czy przy uderzeniu o ziemię, czy był zamach czy katastrofa?

Pytania te odbijają się czkawką po polskiej polityce i publicystyce, o tzw. blogosferze nie wspominając. Tymczasem są to problemy wtórne do tych, które choć zasadnicze, są zamykane pod dywan na każdym kroku.

Katastrofa, w której zginął prezydent Lech Kaczyński, to przede wszystkim tragedia państwa polskiego. To zdarzenie pokazało, czym jest dzisiejsza RP; czym są jej elity polityczne, a czym jej instytucje. Pokazał się obrazek smutny i śmierdzący. Mimo tego smrodu, ten najbardziej istotny aspekt jest prawie nieobecny w debacie publicznej!

A przecież:

- Zginął prezydent państwa polskiego, a nikt odpowiedzialny za bezpieczeństwo tej jednej z najważniejszych instytucji polskiego porządku prawnego nie tylko że nie strzelił sobie w głowę czy poszedł siedzieć, ale nawet nie podał się do dymisji.

- Nie dokonano całościowego przeglądu bezpieczeństwa instytucji państwowych.

- Rząd, który w ręce wrogiemu państwu oddał prowadzenie śledztwa w sprawie tego zdarzenia, naruszając konstytucyjne założenia suwerenności państwowej, zachowuje się jakby nigdy nic!

Skandal goni skandal, a wrzutki informacyjne o tej czy innej sytuacji na pokładzie prezydenckiego samolotu odwracają uwagę od pytań, dlaczego Polska do tej pory nie otrzymała wraku (polski rząd nawet noty dyplomatycznej w tej sprawie nie wysłał); dlaczego nie stawia się przed sądem ludzi, którzy torpedowali możliwość uczestniczenia Polaków w śledztwie czy pozyskiwaniu materiałów dowodowych; dlaczego nie postawiono przed sądem ludzi odpowiedzialnych za zabezpieczenie wizyty prezydenta RP; dlaczego samolot prezydencki sprowadzany był na ziemię na zupełnie nieprzygotowane lotnisko – na którym żaden samolot cywilny nie mógłby lądować wedle rozsądnych standardów bezpieczeństwa – przez kilku dziwacznych Rosjan; dlaczego na ziemi nie było polskiej

kontroli lotów; dlaczego Polacy nie zabezpieczali terenu lotniska?

Na pytania o przyczyny samego tragicznego zdarzenia nigdy nie dostaniemy zadowolającej odpowiedzi – a to dlatego, że dowody, łącznie z wrakiem, były od początku i nadal są w rękach Rosjan.

Nawet niedawna analiza taśmy z rozmowami pilotów dokonana została na przekazanej z Moskwy kopii! Nie ma żadnej pewności, że nagranie nie jest spreparowane.

Na to wszystko pośrednio lub wprost wyraził zgodę polski rząd. W praworządnym państwie można by było postawić przed sądem ludzi odpowiedzialnych za ten celowy czy przypadkowy bajzel. Gdyby ludzie ci byli uczciwi, powinni byli dawno temu palnąć sobie w łeb, choćby po to by osobiście wytłumaczyć się przed ś.p. Panem Prezydentem.

Problemem nie jest bowiem brak wyjaśnień katastrofy smoleńskiej – brak tych rozstrzygnięć to tylko następstwo tego, kto i jak rządzi dziś Polską. Tragedia smoleńska pokazała czarno na białym. Niestety, Polacy z tej lekcji nic nie wynieśli – władze odpowiedzialne politycznie za to zdarzenie dostały placet do rządzenia przez kolejną kadencję. Spsienie?

\*\*\*

Czymże innym niż spsieniem tłumaczyć zachowanie ludzi podczas innej tragedii – katastrofy wycieczkowca “Costa Concordia”. I znów nie chodzi o same przyczyny tragedii, lecz postawy ludzkie w sytuacjach granicznych. Uratowani opowiadają, że czuli się jak na “Titanicu”. Zatonięcie tamtego giganta za sprawą kultury masowej nadal działa na wyobraźnię.

Nic dalszego od prawdy! “Costa Concordia” to nie “Titanic”!

Na Titanicu orkiestra grała do końca, kapitan dowodził na mostku, a dżentelmeni ustępowali miejsca w łodziach ratunkowych kobietom i dzieciom z trzeciej klasy. Dlatego właśnie zapamiętaliśmy “Titanica” – m.in jako przykład cywilizowanego zachowania się ludzi u progu wieczności, gdy śmierć jest nieuchronna.

Co się z nami stało od tamtych czasów, przez te sto lat? Dlaczego dzisiaj pasażerowie “Costa Concordia” opowiadają o dantejskich scenach na coraz bardziej przechylonych pokładach wycieczkowca? Dlaczego mówią, że ludzie zachowywali się jak zwierzęta, mężczyźni odpychali kobiety, trawili dzieci? Dlaczego nikt nie pomógł staruszkowi, którego ubrane w kamizelkę ratunkową zwłoki znaleziono w punkcie ewakuacyjnym? Dlaczego gdy na statku wzywano pomocy, kapitan z zastępcą grzali tyłkami ławki w szalupie ratunkowej?

Zgroza.

Trudno pojąć?

Wcale nie!

Stworzyliśmy konsumpcyjną cywilizację zanurzoną w doczesności, na własne życzenie pozbawiliśmy się wiecznej perspektywy, towarzyszącej chrześcijaństwu. Zamykając horyzont w doczesności, sami redukujemy się do zezwierzęcenia. Ratować najpierw kobiety i dzieci? – A po co? Jakże to ma dla mnie osobiście znaczenie?! No, pewnie, że ucierpię nieco psychicznie, jeśli będę musiał patrzeć, jak toną... Pochodzę trochę do psychologa, to mi przejdzie. Ważne zaś, abym ocalił skórę; śmierć kończy wszystko, więc zachowanie fizycznej egzystencji rysuje się jako najważniejsze powołanie.

Dlatego kapitan Schettino pierwszy ewakuował się z tonącego statku. Głupi nie jest, przecież gdyby został, mógłby utonąć! Poza tym zgasło światło, było ciemno i zimno! A ląd stały był tuż-tuż.

\*\*\*

## Kulturowa pańszczyzna

ACTA, SOPA i PIPA – nagle te smutne biurokratyczne akronimy pojawiły się w czołówkach dzienników. W założeniu ACTA (Anti-Counterfeiting Trade Agreement) dotyczy zwalczania podróbek i ochrony własności intelektualnej, SOPA (Stop Online Piracy Act) zwalczania nielegalnego kopiowania treści chronionej prawami autorskimi z Internetu, PIPA (Protect IP Act) – zakazu ukrywania swej tożsamości internetowej, korzystania z anonimowych proxy serwerów i nakazu blokowania adresów zagranicznych serwerów, gdzie znaleźć można pirackie kopie. ACTA – to porozumienie międzypaństwowe, PIPA i SOPA – to wymysły amerykańskiego ustawodawcy.

ACTA weszła na tapetę z powodu protestów w Polsce, no bo – żeby wszystko było jasne – my w Kanadzie już w ACTA jesteśmy (nie tylko w ACTA, u nas można nawet podczas przekraczania granicy mieć skontrolowane pliki w komputerze – czy aby legalne) w przeciwieństwie do Polaków w Polsce położyliśmy ruki po szwam i daliśmy się zagonić do zagrody. ACTA parafuje niebawem Unia Europejska, a z nią Polska i stąd wierzgnięcia polskich internautów, ataki na serwery i strony rządowe. Nawiasem mówiąc, działania te obnażają żaloszny poziom zabezpieczeń elektronicznych polskich instytucji. No ale jest to państwo, którego bezsilność jest już przysłowiowa, nie ma więc co się dziwić. Te polskie protesty są oczywiście sobie a muzom, bo jak ładnie wyjaśnił pewien minister, wyjawiając stan polskiej suwerenności – niezależnie od tego czy Polska ACTA ratyfikuje, czy nie, to umowa ta będzie obowiązywać na terenie Polski, bo to prawo UE. Tym razem szczęśliwie złożyło się tak, że internetowa młodzież miała okazję do uświadomienia politycznego, by zobaczyć, że żyje w atrapie państwa.

Tyle tytułem wstępu.

O co z tym Internetem chodzi? O kontrolę sieci! W Internecie każdy z nas jest widoczny jak na talerzu, ale na razie – poza nielicznymi wyjątkami – nie ma mechanizmów prawnych, by skutecznie można było wlec ludzi do sądu za to, co prywatnie w sieci robią. Wszystkie te ustawy nakładają na prowajderów internetowych obowiązek sprawdzania pakietów ściąganych, trzymany na swych serwerach i wysyłanych w sieć przez użytkowników – przekształcając ich w posterunki policji internetowej. Jeśli tego nie będą robić – bekną – zapłacą grzywny, a w ekstremalnych wypadkach pójdą do więzienia (właściciele portalu oferującego przestrzeń na dysku, Mega-upload, już siedzą). Tu znów wypada przypomnieć, że tu, w Kanadzie, od kilku tygodni prowajderzy mają obowiązek kontrolować wszystkie pakiety ściągane czy też wysyłane przez użytkowników na okoliczność pornografii dziecięcej. U nas jest więc już po ptakach.

Z infrastrukturą telekomunikacyjną jest tak, że w obecnym świecie coraz mniej daje się ją wyłączyć. Jeśli władze poczują potrzebę wyłączenia Internetu, połowa gospodarki padnie. Pamiętam, jak w czasie stanu wojennego w PRL, kiedy to wyłączono telefony, strajkujący z Huty Lenina dzwonili do Stoczni Gdańskiej telefonami kolejowymi – tych nie dało się wyłączyć, bo stanęłyby pociągi. Dzisiaj takich uzależnień sieciowych jest wiele więcej. Dlatego chodzi o wbudowanie w sieć możliwości selektywnego blokowania, paradoksalnie coś na co Arpanet, a potem Internet miał być impregnowany. Oficjalnie mówi się, że chodzi o ochronę praw autorskich – ale raz wbudowane mechanizmy takie pozwolą na kontrolę i blokowanie wszelkiej “nielegalnej” komunikacji – a dzisiaj nielegalne jest jedno, jutro drugie...

Te chamskie modyfikacje sieciowe – podobnie jak było z ACTA w Kanadzie – wprowadza się za plecami i chwałą internautowym partyzantom, bo dzięki ich protestom dowiedziała się o problemie cała nasza reszta.

Oczywiście oficjalnie chodzi o to, że niby kopiujemy z sieci za darmo bez opamiętania, a powinniśmy płacić tym co zawsze za obejrzenie każdego obrazka i zanucenie każdej piosenki. Pominę debatę nad prawami autorskimi, bo to osobna sprawa – kultura rozwija się przez przetwarzanie zastanych treści – każdy dodaje coś swojego. – Nie łudźmy się też, że chodzi o dochody twórców. Zagrożone są raczej dochody stetryczających megakoncernów, na których czele stoi banda korporacyjnych nierobów przyzwyczajonych do milionowych apanaży. Gdyby chodziło – jak krzyczą podpaleni przez lobbystów gęgacze – o amerykańskie miejsca pracy i wykradanie nam technologii, to ja radzę zajrzeć do Chin czy do Indii, gdzie kopiuje się wszystko co wpadnie w łapę, a Ameryka uzależniona od narkotyku taniej azjatyckiej produkcji przyryka oko. Co więcej, amerykańskie korporacje niosą Chińczykom w zębach każdą technologię, byle tylko łaskawie pozwolili im skorzystać z nowego produkcyjnego eldorado. Chińczycy oczywiście tego wymagają – a bo co? Zaraz budują własne fabryki podróbek. Ostatnio zażądali od GM pełnej dokumentacji technologii samochodów elektrycznych VOLT – biedny Obama musiał osobiście interweniować. Pamiętam też, że bodajże Lockheed za możliwość taniego strzelania satelitów z Chin dostarczył Pekinowi TAJNĄ technologię stabilizacji rakiet w początkowej fazie lotu, co pozwoliło kitajcom usprawnić rakiety balistyczne! Więc jeśli ktoś chce chronić amerykańskie miejsca pracy i zapobiec kradzieży własności intelektualnej Zachodu, to w pierwszej kolejności powinien prostymi metodami wymóc to na największych gangsterach, wprowadzając np. zakaz importu z takich państw – to oczywiście żart, bo zakaz importu z Chin jest bez wojny niewykonalny.

Tymczasem wielkim korporacjom medialnym marzy się nowa pańszczyzna. Oni będą właścicielami całej kultury – a my za każdy przypadek skorzystania odprowadzimy daninę – pożyczysz żonie dobrą książkę, niech płaci! A dlaczego nie?!

Dlatego brońmy się! Organizujmy się! Uświadamiajmy się! Każda władza posuwa się tak daleko, jak daleko jej na to pozwalamy. Elity władzy to w końcu tacy sami ludzie jak my – tylko pycha bardziej wchodzi im na myślenie. Tu z dołu doskonale to widać.

\*\*\*

## **American Dream na wstecznym**

31 stycznia 2012 roku trafiły do sprzedaży album Lany Del Ray “Born to Die” oraz analiza socjologiczna Charlesa Murraya (tego od “Krzywej dzwonowej”) “Coming Apart; the State of White America 1963-2010” (co luźno przełożyć można na “Rozpad; obraz białej Ameryki 1963-2010”). Ktoś zapytał, i co z tego, co ma piernik do wiatraka? Otóż, jednak ma.

Album Lany Del Ray (w realu Elizabeth Grant, córki multimilionera Roba Granta) plasuje się w coraz bardziej wartkim nurcie amerykańskiej pop-kultury – ziejącym nostalgiczną tęsknotą za Ameryką sprzed 50 lat. Stylistyka Lany jest żywcem wyjęta z ery Eisenhowera czy JFK. Podobne tęsknoty przebijają w filmach, m.in. w – o dziwo – nagrodzonym europejską Palmą “The Tree of Life” Malicka, z Bradem Pittem.

Ameryka przez wiele dekad stanowiła uosobienie postępu – rozwój cywilizacyjny i tempo bogacenia się społeczeństwa zapierały dech; nikt przy zdrowych zmysłach nie tęsknił za przeszłością. Posługując się dzisiejszymi standardami granicy ubóstwa, Murray przypomina, że poniżej tej cezur w 49 roku żyło 41 proc. Amerykanów, zaś w 1963 niespełna 20 proc. Dobrobyt otulał miliony. Trudno takim ludziom odgrzewać na talerzu kultury masowej obrazy sprzed pół wieku, szczypiąc duszę opowieściami, jak to pięknie drzewiej bywało. American Dream nie miał wstecznego biegu i nikt za siebie nie patrzył. Bo po co? Nostalgia, to można sobie było nacierać zelówki na brukach Paryża czy Berlina; w Nowym Jorku w powietrzu wisiała jedynie awangardowa

bezczelność parcia do przodu. Zero splinu. Masa miasta zżerana w trzewiach maszyn wypływała te nowsze, rzekomo lepsze czasy. Nie bez kozery powiedzenie o starych, dobrych czasach nie miało amerykańskiej wersji.

Do nostalgii, podlanej melancholią, potrzebny jest regres – poczucie, że ci przed nami mieli jednak pod jakimś względem dużo lepiej. I właśnie o tym opowiada ze swadą Murray – o przepoczwazzeniu, które rozorało USA za życia zaledwie dwóch pokoleń. Teoretycznie, mieszkańcy Nowego Świata nigdy nie mieli lepiej niż dzisiaj – PKB przecież nie kłamie. Ameryka nadal pławi się w bogactwie i jest w stanie rozstawiać po kątach w dowolnym zakątku ziemi.

Zestawienie tego, co mamy w roku 2010, z tym co było w roku 1963, wywołuje... nostalgię.

W 1963 98 proc. mężczyzn w wieku 30 – 40 lat było pracownikami lub aktywnie szukało pracy. Powszechnie sądzono, że inny status nie przystoi dorosłemu mężczyźnie. W telewizji dominował obraz szczęśliwej tradycyjnej rodziny, za rzecz oczywistą uznawano, że TV i kino mają umacniać normy społeczne. Scenariusze filmowe zatwierdzane w oparciu o kodeks Stowarzyszenia Filmowego wykluczały brzydkie słowa w dialogach, nie można też było wzywać imienia Boga nadaremnie, wyśmiewać religii czy umieszczać treści obscenicznych – w tym wszystkiego co odnosiło się do seksu. Aktorzy nie mogli grać nago czy półnago. Homoseksualizm to była perwersja, a filmowa zbrodnia nie mogła popłacać. I faktycznie nie popłacała, bo na wielkich połaciach kontynentu ludzie zostawiali otwarte drzwi domów, a samochody stały z kluczami w środku.

Wybór kanałów i programów telewizyjnych owszem był – w niektórych miejscowościach nadawały CBS, NBC i ABC. Z sondażu Gallupa przeprowadzonego w 1963 roku wynikało, że 95 proc. respondentów zaliczało się albo do “klasy pracującej” (50 proc.), albo “klasy średniej” (45 proc.). Wiele osób wpływowych unikało uznawania siebie za klasę wyższą, co było wyrazem powszechnego przekonania (błédnego), że w Ameryce nie ma klas. Ameryka chodziła do kościoła. Na pytanie czy w ciągu minionych siedmiu dni byłeś w kościele (Murray zwraca uwagę, że w pytaniu nie było oboczności, w rodzaju “w kościele albo w synagodze” czy “w miejscu kultu”), jedynie 1 proc. uznawało się za obojętnych na religię, a połowa wszystkich zapytanych deklarowała, że chodzi do kościoła. I to niezależnie od dochodów i wykształcenia.

Co ciekawe, gdyby sięgnąć do jeszcze starszych czasów, okaże się, że do początku lat 60. proporcje te były mniej więcej takie same i stanowiły istotny element “amerykańskiego stylu życia”. Podobnie tradycyjne małżeństwo. Odsetek gospodarstw domowych rozwodników stanowił zaledwie 3,5 proc., a żyjących w separacji – 1,6 proc. 80 proc. mężatek nie pracowało poza domem i wychowywało dzieci. Murray nie kryje, że ówcześni Amerykanie mieli o wiele mniejszy wybór towarów, muzyki w radiu, książek; księgarnie były niewielkie i poza dużymi miastami nieliczne; nie było na co nagrywać muzyki, ludzie jeździli autami made in USA, a te made in Japan były synonimem szajsu. W restauracjach królował befsztyk i hamburger; sushi było nie do pomyslenia, pizza raczkowała, Chińczycy serwowali zamerykanizowaną chińszczyznę, a pierwsza tajska restauracja otworzyła się w 71. roku.

Dlaczego więc melancholia? Murray podsumowuje: “Eksperyment amerykański nie polegał na tym, aby maksymalizować dobrobyt albo zapewnić międzynarodową dominację. Projekt Ameryka – był nieustającym wysiłkiem – poczynając od samego aktu założycielskiego – który miał zademonstrować, że człowiek może być pozostawiony wolny samemu sobie, jako osoba i jako rodzina, aby żył po swojemu, tak jak to uzna za właściwe, dobrowolnie angażując się wraz z innymi w rozwiązywanie wspólnych problemów”.

To był amerykański skarb, to była ta wyjątkowa kultura. To była Ameryka, która imigrantom wyciskała



łzy z oczu na widok Statuy Wolności.

To była Ameryka, której Amerykanie nie zdołali upilnować, która padła pod ciosami bolszewizmu kulturowego.

Nostalgia za nią z roku na roku będzie większa.

\*\*\*

## **Przyzwoitość wymaga**

Przy okazji śmierci Wisławy Szymborskiej, po raz kolejny zarysował się front wojny o prawdę; o Polskę, o naszą tożsamość – o ocenę tego, kim byliśmy i kim jesteśmy.

Powiedzmy sobie w skrócie, że w rezultacie II wojny światowej Polska poniosła dotkliwą porażkę, jej legalny rząd został za granicą, elity przetrzebione, majątek spalony i rozszabrowany.

Administracja osadzona w kraju przy pomocy armii sowieckiej nie miała nic wspólnego z polską racją stanu czy politycznymi wyborami Polaków, a jedynie stanowiła aparat skutecznej administracji polskimi terenami w imieniu Kremla. Sytuacja ta była oczywista dla milionów zwykłych Polaków już pod koniec 45 roku. Ich posłuszeństwo wymuszały strach i terror tajnych policji.

Mimo wojennego zmęczenia, część polskiego społeczeństwa stawiała jednak opór nowemu okupantowi.

Opór zwalczany przez nowe elity w znacznej mierze transnarodowe sformowane z przywiezionych na czołgach przedwojennych komunistów i rodzimych renegatów wątpliwego autoramentu. “Elita” ta miała ułatwić zaprzęgnięcie polskiego społeczeństwa do moskiewskiego kieratu. Była to rola niewdzięczna, dlatego nowi okupanci wierność hojnie premiowali. To ci zdrajcy tłumaczyli upodlonym Polakom, że nowa okupacja stanowi najwyższą formę narodowej swobody.

Wisława Szymborska – podobnie jak wielu innych artystów, literatów, filmowców – poszła w tamtych czasach na lep komunistycznej satrapii. Z głupoty, ze strachu czy za pieniądze? – Nie wiadomo. Oczywiście, nie ona jedna – wielu jej kolegów i koleżanek postąpiło tak samo. I w roku 2012 można by było machnąć na to ręką, gdyby nie fakt, że osoby te nigdy za tamto zachowanie nie przeprosiły, nigdy tamtych wyborów nie potępiły, nie powiedziały, że czarne jest czarne, a białe białe. – Przeciwnie, latami tuszowały, zwodziły, krytykowały jednoznaczne oceny.

Salon trzymał sztamę, bo był cały umoczony. Osób, które zdołały tworzyć poza marginesem oficjalnego przyzwolenia, można policzyć na palcach jednej ręki. Osoby te podlegały ostracyzmowi, bo to właśnie na ich tle widać było wyraźnie miałość reszty artystów i pisarzy czy muzyków; tych wszystkich, którym powierzono zadanie subtelniejszego trucia mózgow, bardziej wyrafinowanego od siermiężnego żargonu “Trybuny Ludu”. Wielu z nich było członkami “bohemy” czerwonej elity. Co nie zmienia faktu, że ich kontestacje i naburmuszenia były koncesjonowane przez “władzę ludową” – jedne oficjalnie, inne na zasadzie przyzwalającego mrugnięcia okiem.

Dzisiaj postawy tego środowiska stanowią kanwę jednego z mitów założycielskich III RP. Dlatego z takim oburzeniem i tak gwałtownie ludzie ci reagują na wszelkie rewindykacje, na przypominanie ich postaw.

Pierwszy niby-argument jest taki, że o zmarłych nie wolno źle mówić. Jest to oczywista głupota – bo owszem, w rodzinie może tak, ale gdy zmarły był postacią publiczną, politykiem, pisarzem, to właśnie śmierć otwiera okres podsumowań i oceny dorobku. Gdyby było inaczej, że odwołam się do drastycznego przykładu, niczego nie dowiedzielibyśmy się o najbardziej brutalnych gangsterach, bo jakże to źle o nich mówić, skoro nie żyją? Oczywiście, że o wielu zmarłych mówimy źle i musimy źle

mówić, bo tego wymaga przyzwoitość. To po pierwsze.

Po drugie, to że Szymborska nie rozliczyła się z własnymi postawami ery stalinizmu. A szkoda, bo podobno była z niej w sumie miła kobieta. Człowiek miewa wzloty i upadki, jednak dobrze, gdy jest w stanie publicznie przyznać, że pobłądził – choćby po to właśnie, by czarne było czarne, a białe białe. No chyba że aureoli nie zdejmuje się, nawet idąc do WC.

Jedną z najważniejszych rzeczy dla narodu jest wrażliwość historyczna – wiedzą dokładnie o tym Żydzi, którzy do dzisiaj budują narodową kohezję, wypominając postawy wobec holokaustu. Do dzisiaj też różnych intelektualistów czy polityków mają na czarnej liście. Odpowiedzialność intelektualistów jest większa niż Jana Kowalskiego. Dlatego też podpisanie przez Szymborską listu domagającego się śmierci niewinnego człowieka ma poważny wymiar i poetka powinna była się sama z tym problemem uporać. Niestety, tego nie zrobiła i można ją za to oceniać – kiedy żyła, i teraz, kiedy już umarła.

Ten sam problem dotyczy całego garnituru polskich niby-autorytetów, od Wajdy, który inteligentnie kłamał filmami w takt propagandy (na inne filmy nie dostałby pieniędzy), po liczne grono poetów, pisarzy i dziennikarzy pokroju Kapuścińskiego.

Ludzie, którzy rzeczywiście komunizm kontestowali, nie mieli w PRL-u statusu wielkich buntowników, lecz po prostu nie istnieli. Tak właśnie, nie istniał Józef Mackiewicz i tak samo nie istniał Janusz Szpotański – Herbert pałętał się gdzieś w załomach. Komunizm, również ten łagodniejszy peerelowski, miał to do siebie, że kontrolował środowiska, z których mogło wyjść zarzewie buntu. “Życie towarzyskie i uczuciowe” Leopolda Tyrmanda pokazuje niesmacznie, na czym ta kontrola polegała.

Niech Wisławie Szymborskiej ziemia lekką będzie, niech odpoczywa w pokoju, szkoda tylko, że w kilku mocnych słowach nie zafundowała nam wszystkim spowiedzi dziecięcia wieku. Jej wiersze z pewnością zabrzmiałyby od tego czystszy tonem, w końcu co to szkodzi powiedzieć kilka słów prawdy o sobie, stojąc na progu Boskich korytarzy?!

\*\*\*

## **Równouprawnienie to bzdura**

Minęły walentynki, za moment Dzień Kobiet, pora na miły sercu temat płci pięknej. A serce płacze, bo kobieta jest największą przegraną obecnego politycznie poprawnego postępu!

Peerelowska szczepionka skojarzyła mi w głowie Dzień Kobiet z goździkiem i rajstopą rozdawanymi za pokwitowaniem spracowanym tkaczkom o twarzach ziemniaków.

Dzień Kobiet dzisiaj również jest symbolem kobiecego upodlenia, dokonywanego rozmyślnie w myśl podniesionej do rangi wartości wyższej filozofii “równouprawnienia”.

Można to łatwo dostrzec na przykładzie dwóch katastrof morskich; w roku 1912, kiedy “równouprawnienie” było w powijakach, z tonącego “Titanica” uratowała się większość kobiet i dzieci. – Dlaczego? Bo dżentelmeni odstępowali miejsca w łodziach ratunkowych i zapalając kolejnego papierosa, szli spokojnie na dno; w 2012 roku, kiedy w “duchu równouprawnienia wychowały się całe pokolenia mężczyzn i kobiet”, spanikowani faceci sprawnie wiosłowali rękami wśród kobiet i dzieci, aby w pierwszej kolejności dotrzeć do szalup. To właśnie dobra ilustracja “postępu”, jaki dokonał się przez jeden wiek.

Kobieta w cywilizacji zachodniej zajmuje pozycję wyjątkową. Co innego mężczyźni, co innego

kobiety. Bo przecież to właśnie panie – jak oblizując się obleśnie, tłumaczy diabeł (Jack Nicholson) w “Czarownicach z Eastwick” – to właśnie kobiety – są w naszym rodzaju ludzkim istotami absolutnie cudownymi. I’d love to be a woman – szepce w filmie zazdrośnie diabeł. – “Look what you can do with your bodies... make babies, make milk to feed babies.

Wszyscy znaleźliśmy się na tym padole, przechodząc przez wasze wspaniałe ciała, Drogie Panie! To wy niańczycie nasze dusze dla świata! I ta właściwość, do czasu pełnego wdrożenia utopii Nowego Wspaniałego Świata, sztucznych łóżysk i tym podobnych bezeceństw wyklucza jakiegokolwiek równouprawnienie!

To właśnie dlatego, że my, mężczyźni, nie jesteśmy równowarci, przepuszczamy kobietę pierwszą, ustępujemy jej miejsca w tramwaju, całujemy dłoń i w ogóle zachowujemy się szarmancko “i po męsku”. Nasze społeczeństwo tradycyjnie podzieliło role, one wykształciły się po Bożemu właśnie ze względu na to, że my, mężczyźni, i wy, kobiety, jesteśmy inni i do czego innego stworzeni. Zapoznavanie tej różnicy, jej niwelowanie nie tylko że jest nieludzkie i prowadzi do przemocy na gigantyczną skalą, to jeszcze odziera świat z piękna i kolorów.

A właśnie ideały Dnia Kobiet ukształtowały społeczeństwo, w którym wychowywanie w domu czwórki dzieci uważane jest za życiową porażkę, zaś różne kobiety “zrealizowane zawodowo” stawia się na piedestale jako symbol nowego i lepszego świata. Tymczasem z punktu widzenia nas wszystkich; z punktu widzenia społecznego to właśnie wychowanie czwórki nowych ludzi – świątłych, emocjonalnie zrównoważonych, zaopatrzonych w życiowy fundament – doświadczenie szczęśliwego dzieciństwa – to stanowi największą wartość.

Owszem, kobieta może prawie wszystko, różne babochłopy są w stanie sięść na traktor, obsługiwać kulomioty, pracować w kopalni, kierować dużą korporacją czy latać za sterami wojskowych odrzutowców.

Nie zmienia to jednak faktu, że tych kobiet nie powinno tam być. Bo ich rola jest o wiele ważniejsza gdzie indziej. Pewne nasze drogi na tej ziemi są z góry zadane. Wiadomo, że jeśli ktoś urodził się w rodzinie królewskiej, jego przyszłość jest do pewnego stopnia zdeterminowana. Tak samo zdeterminowana jest przyszłość w zależności od tego, czy jesteśmy kobietą czy mężczyzną.

Nie ma w tym nic złego, jest jedynie piękno i harmonia porządku natury. W jednym i drugim przypadku można sięgać gwiazd. Tylko nieco inaczej, inną drogą.

Niestety, zafundowaliśmy sobie okrutny eksperyment. To przez szarlatanów idziemy dzisiaj dziarsko w świat bez rodzin; świat, w którym państwo niczym jeden wielki dom dziecka przykłada sztancę do mózgów młodego pokolenia; w którym zniewieściali faceci i schamiałe kobiety po omacku obmacują sobie sumienia.

Dlatego kiedy jeszcze jesteśmy to w stanie to zauważyć, nie dajmy wymusić na sobie Dnia Kobiet i walentynek.

W dzisiejszym wydaniu uroczystość św. Walentego zamieniono na dzień seksu. Tymczasem seks bez oddania, poświęcenia, bez nadziei na wspólną przyszłość jest podobny do przynoszącej obopólną przyjemność czynności fizjologicznej, a partner seksualny – czy to kobieta, czy mężczyzna – odczłowieczony i sprowadzony do trofeum, którym możemy się pochwalić, albo też ustalić własny status społeczny.

W jednym i drugim wypadku igramy tym, co w kobiecie najpiękniejsze, najbardziej wyjątkowe, tajemnicze i cudowne – lekceważymy i wdeptujemy w błoto jej egzystencjalną wyjątkowość z zazdrosnym mlaskaniem opisaną przez diabła w czarownicach z Eastwick.

Women, you are making babies!

Dlatego szanujcie się i dbajcie o siebie, Drogie Panie; nie dajcie się wyprowadzić na manowce, bo bez was ta ziemia umiera. Wy nie możecie mieć równych praw – musicie mieć większe prawa i nie dajcie sobie ich odebrać politycznie poprawnym diabłom! To wy musicie wychować nowe pokolenia mądrych dzieci, mądrych Polaków.

\*\*\*

## **Antydemokratyczny przekręt**

Czy demokracja jest dzisiaj jeszcze możliwa? Czy system obywatelskiego współzrządzenia ma wciąż rację bytu? Czy forma uzgadniania wspólnych spraw doskonale sprawdzająca się w przypadku wolnych obywateli greckiej polis, czy też obywateli rzymskich nie jest dzisiaj przestarzała?

Po upadku religijnie usankcjonowanej monarchii z demokracji zrobiono fetysz. Dzisiaj mało kto odważa się przeciwstawić “demokratom”, w imię “demokratyzacji” prowadzi się nawet wojny i bombarduje miasta.

Demokracja – tak jak się ją potocznie pojmuje – nie jest w stanie funkcjonować w obywatelskiej próżni. Jest to system wymagający wykształconych, rozważnych i odpowiedzialnych obywateli. Tymczasem z powodów politycznych definicję obywatela poszerzono tak bardzo, że praktycznie zaczęła ona obejmować wszystkich ludzi. A wszyscy nie jesteśmy “rozważni, wykształceni i odpowiedzialni”.

Dawniej głosowali wyłącznie “obywatele ziemscy”, potem prawa polityczne przeniesiono na wszystkich mężczyzn, następnie zdobyły je kobiety, dzisiaj pojawiają się pomysły przyznania ich dzieciom... Czysta paranoja!

W takiej sytuacji “współzrządzenie” staje się fikcją. Nie tylko dlatego, że cała rzesza ludzi jest niewykształcona, pozbawiona elementarnego poczucia odpowiedzialności czy zdrowego rozsądku, gros, owym współzrządzeniem jest niezainteresowana, chętna do scedowania swych praw na kogokolwiek, kto obieca, że “będzie dobrze”. – Mnie to nie obchodzi. – Tak mówi olbrzymia część społeczeństwa – ja chcę mieć pracę, samochód i możliwość wyjazdu na atrakcyjne wakacje.

Popędzani do głosowania ludzie, w większości wypadków nie mają pojęcia o co toczy się gra. Reagują na proste bodźce, oddają głos na eleganckich lub przystojnych, albo idą na lep szarlatanów potrafiących uwieść słowem. Sami politycy rzadko zaś poważnie traktują to, co mówią w wyborach, no bo i tak nie ma komu z tego ich rozliczać. Najlepiej jest więc mówić gładko, z udawanym zatroskaniem.

Niezainteresowani sprawami publicznymi, jeśli nawet wiedzą czego by chcieli dla siebie, to w sprawach gminy, miasta, czy państwa nie mają najmniejszego rozeznania.

Jeszcze nie tak dawno głosować mogli wyłącznie ludzie stateczni, zakorzenieni na danym obszarze, którym trudno byłoby jutro spakować manatki i wyjechać – dzisiaj, idzie do urny każdy lekki wariat. Sytuacja taka wymusza równanie w dół; polityka równa w dół starając się przeciągnąć na stronę najbardziej skuteczną metodą zazwyczaj pozamerytoryczną.

Być może jest to obrazek przesadzony; nie ulega jednak wątpliwości, że w świecie coraz gorszej edukacji i coraz większej infantylizacji społecznej, demokracja staje się medialną zabawą, odległą od rzeczywistej władzy.

Nasz brak politycznego rozgarnięcia ułatwia zadanie tym, którzy z założenia uznają, demokrację za zasłonkę służącą legitymizacji ich władzy w oczach motłochu; ułatwia rządy systemu, który polityczny teatr uznaje za konieczną cenę przyzwolenia.

Oczywiście, demokracja to ciężar – bywa stopniowalna – w jednych państwach bardziej autentyczna, w innych całkowicie fasadowa; w jednych system rządu jeszcze się z człowiekiem liczy, w innych jest już tylko “aplauz i zaakceptowanie”.

W interesie gardzących społeczeństwem elit leży konsekwentne rujnowanie gleby z której demokracja wyrasta, zniechęcanie obywateli do angażowania się w naprawdę istotne sprawy i kierowanie niezadowolenia, tam gdzie będzie ono pozbawione znaczenia i łatwe do zneutralizowania.

Dlatego ważne jest, abyśmy byli świadomi, gdy nas się wodzi za nos; abyśmy mówili prawdę, przeciwstawiali się manipulacji i nie zamykali we własnych problemach. Ważne jest, abyśmy zdołali nauczyć dzieci krytycznej oceny sytuacji i umiejętności wyciągania logicznych wniosków.

Demokracja jest możliwa, tam gdzie ludzie wzajemnie się znają, gdzie ze sobą rozmawiają, dyskutują, gdzie nie są pozamykani w anonimowych klatkach. Poznajmy więc własnych sąsiadów, rozmawiajmy z nimi nie tylko o pogodzie. Nie poddajmy się kneblującemu usta dyktatowi politycznej poprawności. Demokracja bez swobody wymiany myśli i wolności słowa, nie jest w stanie funkcjonować. Nowe tabu spychają do podziemia autentyczne problemy społeczne. Nie gódźmy się z tym właśnie w imię demokracji.

Żyjemy w czasach zawężania stref wolności, ograniczania swobód obywatelskich i praw człowieka przy jednoczesnym akompaniamencie propagandy przekonującej, że nigdy jeszcze nie byliśmy tak swobodni.

Na tym polega antydemokratyczny przekręt naszych czasów. Zniewoleni i uwikłani zaczynamy wierzyć, że system kontroli, jakiemu jesteśmy poddani, to... “wolność i demokracja”; nawet nie będąc w stanie dostrzec położenia w jakim się znaleźliśmy.

\*\*\*

## **Plecami do prawdy**

Z wywiadu, jaki dawno temu przeprowadzałem ze znanym torontońskim adwokatem pochodzenia żydowskiego p. Guidym Mamannem, zapamiętałem jedno zdanie “Brońcie swojej społeczności (chodziło wówczas o imigracyjne hieny żerujące na zdesperowanych Polakach), bo jeśli tego nie zrobicie, to kto ich obroni?”.

Słowa te dźwięczą mi w uszach, kiedy pisane po polsku i przez Polaków gazety nie tylko nie bronią Polaków, ale jeszcze kłamią jak na zawołanie, w obcym interesie, a to niemieckim, a to żydowskim.

Ten ostatni przypadek jest szczególnie kuriozalny ze względu na bliski splot losów obu naszych narodów. Choć dzisiaj interesy Polaków i Żydów czy też interesy Polski i Izraela w niektórych sprawach mogą być bliskie czy nawet tożsame, to jednak w wielu innych nie tylko że różnią się diametralnie, ale są przeciwstawne. Rzeczą naturalną byłoby, gdyby polskie środki przekazu były przy takich spięciach zjednoczone w obronie Polski i Polaków. Tak bronią Żydów niczym pod sznurek gazety żydowskie nie tylko w Izraelu.

Fakt, że w Polsce tak nie jest, pokazuje, jak głębokie jest dzisiaj politycznopoprawne zastraszenie. Żydzi używają do realizacji swych celów wszystkich dostępnych środków (no bo czemu nie?), a

jedną z najbardziej skutecznych "armat" jest oskarżenie o antysemityzm. Już samo podejrzenie o "antyspołeczne uprzedzenie, nienawiść, wrogość i dyskryminację" Żydów mrozi interlokutorów w pozycji sarenki omiecionej światłem reflektorów, odbierając im mowę i paraliżując myśli. Może z tymi myślami to trochę przesadzam – zazwyczaj myślą nadal po swojemu, tylko żadne mru-mru z nich się już nie wydobywa.

Oskarżeniami o antysemityzm szafuje się tak często i tak gęsto, że w jednym worku ze strasznymi rasistami czy Ku-Klux-Klanem łądają Bogu ducha winni ludzie, którzy po prostu chcą mówić prawdę o tym, co widzą i słyszą. Dożyliśmy bowiem czasów, kiedy "antysemitą" można zostać nie tylko za krytykę bieżącej polityki Izraela, ale nawet za zidentyfikowanie jakiegoś bardziej prominentnego łobuza jako Żyda. Grożący palec kiwa się nad nami bez przerwy.

Prowadzi to do kuriozalnych sytuacji, kiedy słownictwo i argumentacja dopuszczalna na przykład w stosunku do Niemców czy Ukraińców wypowiedziane pod adresem Żydów zostają natychmiast "ustrzelone" oskarżeniami o antysemityzm, a może nawet podżeganie do "ludobójstwa".

Mamy tego przykłady nie tylko tu, w Kanadzie, ale też coraz częściej w Polsce, gdzie właśnie niedawno, 8 września, w Lublinie, odbyła się rozprawa w procesie przeciwko Grzegorzowi Wysokowi, wydawcy lokalnej efemerycznej gazetki, oskarżonemu o "znieważenie i nawoływanie do nienawiści wobec narodu żydowskiego" w związku z publicystyką broniącą Polski przed nie mającymi żadnych podstaw prawnych (niech mi ktoś udowodni, że jest inaczej) roszczeniami międzynarodowych organizacji żydowskich do 65 mld dol. odszkodowania "za mienie pozostawione". Podczas tej rozprawy jeden ze świadków, niejaki p Bryłowski, były radny PO i prezydent miasta Lublina, zeznał, że "takie pisanie może przerodzić się w rzecz straszną, nawet w zbrodnię holokaustu, a zacytn nienawiści może doprowadzić do tragedii – przykład to sprawa Breivika". Jak czytamy w relacji z procesu: świadek uznał, że "przypominanie takich zdarzeń z przeszłości nastawia nieprzychylnie do tych nacji". Wynika z tego – tak na zdrowy rozum – że na przykład holokaust nie powinien być przypominany, ponieważ z całą pewnością nieprzychylnie nastawia do Niemców... (albo do narodu "nazistów"). Czyli – że podeprę się cytatem z kultowego Rejsu – "z punktu mając na uwadze, że ewentualna krytyka może być, tak musimy zrobić, żeby tej krytyki nie było. Tylko aplauz i zaakceptowanie".

Są to rzeczy stawiające mózg w poprzek każdej normalnej osobie. Tymczasem większość polskich gazet zgrabnie ich nie zauważa, kładąc uszy po sobie, a ruki pa szwam. Pokazuje to, jak głęboka jest w Polsce dziura demoralizacji społecznej. Demoralizacja nie polega wyłącznie na tym, że spółkujemy z kim popadnie i gdzie bądź; demoralizacja to nie tylko rozpostarte na ekranach telewizorów w wyuzdanej pozie ciało jakiejś szansonistki deprawującej młodzież – demoralizacja to przede wszystkim przyzwolenie na kłamstwo. Odwracanie się plecami do prawdy. Nam nie trzeba żadnych dodatkowych interpretacji czy objaśnień, gdy chodzi o relacje z Żydami czy kimkolwiek innym; wystarczy nie kłamać! "Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu." Nie możemy też biernie patrzeć na kłamstwo; jeśli więc ktoś tuż obok bezczelnie kłamie w żywe oczy, to powinniśmy wstać i powiedzieć basta! Kłamstwo ma zresztą krótkie nogi. Choć mamy w Polsce całe stronnictwo cudzoziemskie, które bez żadnego skrupowania pieprzy 3X3, prędzej czy później kłamstwo się na nim zemści.

Nie tylko na nim – bezczelne kłamstwo rodzi poczucie niesprawiedliwości. Dzisiaj Żydzi są silni i uprzywilejowani, gdyby jeszcze działali sprawiedliwie, mogliby na długi czas utrwalić pozycję. Niestety, jak wszyscy, grzeszą pychą. Lord Acton zaobserwował kiedyś, że każda władza deprawuje. Dlatego każda sytuacja wywyższenia, wyniesienia ku władzy jest dla człowieka, grupy czy narodu

wielką próbą. Nie można jej sprostac, oplatając ludzi pajeczyną wygodnych, politycznie poprawnych kłamstw; nie można jej sprostac, silą zamykając usta tym, którzy nadal mają odwagę mówić prawdę.

\*\*\*

## **Antypolskie bełtanie w głowie**

Minęła kolejna rocznica napaści ZSRS na Polskę 17 września 1939. Do dzisiaj mówi się, także w środowiskach patriotycznych, o "agresji" Związku Sowieckiego na Polskę. "Agresja" to eufemizm ukuty dla odróżnienia napaści sowieckiej, niejako mniej złowrogiej i "wymuszonej", od niemieckiej, co do charakteru której żadnych wątpliwości nie ma nawet w najbardziej lewackich kręgach. "Agresywny" to może być pijak, który zdiela kolegę butelką po głowie; w przypadku gdy jedno państwo bez wypowiedzenia wojny wjeżdża czołgami w drugie, to jest najazd, napad. Do dzisiaj w rosyjskiej świadomości społecznej pokutuje jednak propaganda o "wzięciu w opiekę" ludności białoruskiej i ukraińskiej.

Rocznica tamtych wypadków powinna być pretekstem do zmanifestowania prawdziwej historii; do wzniecania dumy z bohaterstwa żołnierza polskiego, który walczył do końca mimo pchnięcia sowieckim bagnietem w plecy. Jako państwo też powinniśmy się przeciwstawiać antypolskim kłamstwom Rosjan na ten temat; reagować na to, co piszą w podręcznikach szkolnych, i protestować – choćby po to, by sprawa żyła w debacie.

Niestety, polski rząd tego dzisiaj nie robi, dbając o to, by nie "urazić wrażliwości" sąsiadów i by czasem nie obudzić złowrogiej hydry "polskiego nacjonalizmu". Warszawa pozwala w ten sposób na budowanie cudzego szowinizmu naszym kosztem.

Niemcom w to graj, a Rosjanie i Ukraińcy nigdy się nami specjalnie nie krępowali. Nie tylko w Rosji, ale też w Kanadzie. Przykładów (dziękuję bardzo p. Rozenkowi za materiały) jest bez liku.

W "Ekspressie" (Weekly Russian language newspaper) nr 27 z br. czytamy m.in. na str. 8 obszerny wywiad Eleny Kremienkowej o ludobójczym potraktowaniu sowieckich jeńców z wojny bolszewickiej. Autorka pisze, że z 200 tys. jeńców w Polsce zmarł co trzeci/czwarty. Dla ilustracji materiału "Ekspress" zamieszcza zdjęcie zabiedzonych ludzi w strzępach ubrań, ponoć więźniów polskiego obozu jenieckiego, w którym trup słał się gęsto. Problem ze zdjęciem jest taki, że w albumowej Historii XX wieku w fotografii, identyczne zdjęcie podpisane jest: "The horrors of Germany's final solution are revealed as the concentration camps are open up" – i przedstawia więźniów obozu koncentracyjnego wyzwolonego podczas II wojny światowej przez wojska aliantów. Ot, takie drobne foto-kłamstewko.

Na pytanie dziennikarki: "My toże sodierzali Polakow w tżażelych usłowijach?" historyk odpowiada: "Ależ skąd". Zajrzyjmy w dokumenty! – Okaże się, że Polacy jechali do obozów jenieckich na Syberii w przyzwoitych warunkach, a na miejscu dostawali osobne sorty na lato i inne na zimę".

To oczywiście tylko malutki fragment budowania całej siatki tożsamościowej.

Rosjanie czynią to od dawna, a my nie. Zwłaszcza w stosunkach z Rosją. Za komunizmu – wiadomo – nie było wolno, a po przemianie komunistów na kapitalistów, nowi właściciele Polski usilnie pracują nad osłabieniem idei narodowych i innych "tradycjonalizmów".

Sytuacja pogarsza się z roku na rok nie tylko dlatego, że polską flagą krew z rąk ścierają sobie Niemcy i Rosjanie; ale że coraz częściej czynią to przy aprobacie Żydów, którzy na Zachodzie mają duży wpływ "medialny". Wersja sowiecka nagle buduje hollywoodzkie scenariusze i znajduje drogę



do podręczników szkolnych. Żydzi, którzy mają już w Izraelu pomnik wdzięczność Armii Czerwonej, ostro reagują na wszelkie próby postawienia przed sądem żydowskich zbrodniarzy z NKWD. Niedawno Piotr Zychowicz pisał w "Rzeczpospolitej", że litewskiego ministra wyrzucono z konferencji na temat holokaustu, ponieważ litewska prokuratura (w przeciwieństwie do polskiej, która w sprawie Koniuchów nabrała wody w usta) prowadzi szereg dochodzeń przeciwko byłym enkawudzistom, a w gronie podejrzanych znajduje się były szef Yad Vashem (a jakże) Icek Arad, który był funkcjonariuszem litewskiej bezpieki.

Na to, co robią inni, nie mamy wpływu, ale właśnie ze względu na to co robią, powinniśmy ze zdwojoną energią propagować prawdziwą wersję wypadków.

Obchody sowieckiego najazdu na Polskę w 1939 roku, powinny dać okazję do całościowego "przypomnienia" polskiego losu w Europie. Takie rzeczy trzeba robić "w punktach", nowocześnie, szybko i nie żałować pieniędzy. Niestety, z powodów, o których piszemy w "Gońcu" od dawna, obecne państwo polskie (o ile można je nadal tak nazywać) takiej polityki nie prowadzi. Przytaczając słowa Stanisława Michalkiewicza, mamy sytuację podobną do tej w wieku XVIII, kiedy to Katarzyna i Fryderyk hojnie płacili francuskim publicyście oświeceniowemu, a polski król "z łaski szlachty" nie miał poważnych pieniędzy państwowych, więc i nie mógł kupić w ówczesnych "mediach" przychylnych Polakom opinii.

Tak zostało do dzisiaj. Dobrą prasę robią nam obcy, kiedy ktoś czegoś od nas chce – obrony nieba Wielkiej Brytanii, rozsadzania od środka imperium sowieckiego, czy czego tam jeszcze. Potem Murzyn zrobił swoje Murzyn może odejść.

Troska o polską prawdę to część budowy polskiej siły. Z tego, jak się do tego zabierają w Warszawie, wynika, że elicie rządzącej Polską na tej siłę dzisiaj nie zależy.

\*\*\*

## **Wygrali na fujarce**

Wybory są dobrym politycznym lustrem – obnażają nowe podziały; widać, kto jest mitomanem, kto realistą, a kto pastuszkim grającym ludziom na fujarce. Niedzielne wybory potwierdziły, że tym pastuszkim jest w Polsce od dłuższego czasu Platforma Obywatelska i skupiony wokół niej konglomerat medialno-salonowy.

A wybory miały duże znaczenie, ponieważ dobiega końca europejska sielanka, w której dorastało całe jedno pokolenie Polaków. Kryzys zadłużeniowy daje impet do większej komasacji – centralizacji Europy pod egidą Berlina czy Paryża i praktycznej likwidacji suwerenności państw. Tłumaczy się, że Europa nie może mieć jednej waluty, jeśli nie posiada jednej polityki finansowej i socjalnej. Jedną politykę zagraniczną ma już dzisiaj, widać też budowaną na tzw. politycznej poprawności jedną politykę wewnętrzną i oświatową.

Sądząc z dotychczasowych ruchów (lub ich braku), Platforma Obywatelska i jej akolici podjęli się roli kierowników, którzy "na polskim odcinku" zrealizują ten plan – włożą Polskę i jej instytucje w nowy porządek.

Prawo i Sprawiedliwość jako jedyne liczące się ugrupowanie zachowuje język tradycyjnej polityki; mówi o konieczności odbudowy państwa polskiego, tworzeniu niezależnego ośrodka w tym miejscu Europy. Mówi takim językiem, jakim uprawia się politykę w Niemczech, Francji czy Rosji. To właśnie

ten język był najważniejszym powodem, dla którego ci, którym nie podoba się Polska rozbabrana przez stronnictwa niemieckie, żydowskie czy rosyjskie, którym marzy się “rzecz niepodległa”, powinni byli na PiS głosować.

PiS przegrał, nie zdołał zdobyć władzy i trzeba sumiennie przeanalizować powody klęski, a nie smutno się pocieszać, załamywać ręce czy odsądzać Polaków od czci i wiary za to, że nie rozumieją, iż zasługują na więcej. Polityk jest idiotą, jeśli obraża się na elektorat.

Pierwsza rzecz – połowa Polaków uznała, że ma w nosie wyborczą karuzelę, i została w domach. Jest to w dużej części elektorat obrażony na polityków, który uznaje, że w dzisiejszej Polsce nic nie można zmienić, że jedni warci drugich, wszyscy tak samo kradną, oszukują i jedzą obcym z ręki. Zgiełk polityczny w mediach i siermiężny styl polskiej polityki zniesmacza tych ludzi do tego stopnia, że wrzucają wszystkich polityków do jednego wora.

Często w rozmowach słyszy się, że “nie ma na kogo głosować”. Trzeba z taką tezą walczyć, bo to nieprawda.

W polityce – o ile nie robimy rewolucji – trzeba być minimalistą i popychać sprawy w dobrym kierunku, a nie oczekiwać, że ktoś jednym pociągnięciem różdżki wyczaruje raj na ziemi. “Rozczarowanie polityką” jest zresztą jedną z metod manipulacji mających skłonić zwolenników obozu przeciwnego do pozostania w domu – no bo czemu nie? Komuniści pod koniec PRL-u szeptali ludziom do ucha, że “polityka jest brudna” i nie trzeba się w te brudy wtryniać panom z komitetu centralnego.

Druga rzecz – licznej rzeszy naszych rodaków polskie środki przekazu zrobiły w mózgach błoto – odczyły myśleć na własny rachunek, odczyły rozpoznawać lukrowane kupy i narzuciły rozumowanie w kategoriach “cool” i “obciach”. Jest to jedna z zasług całego wachlarza propagandystów od Jakuba Wojewódzkiego po Tomasza Lisa. Chodzi o to, by przywiązanie do Polski, do wartości, do patriotyzmu skojarzyć ze słomą w butach, z moherem, zaś popieranie przystojnych i opalonych bubków euro-targowicy czymś szykownym i “coolowym”.

Jest to zabieg prosty – obecny w polityce od czasów rewolucji francuskiej, kiedy sfetyszowano pojęcie “postępu”, zastępując dotychczasowe wartości nowym kodeksem, gdzie “postępowe” – znaczy dobre, a “tradycyjne” znaczy złe. Oczywiście, o tym, co jest “postępowe”, decyduje aktualne politbiuro. Ta metoda zaowocowała m.in. tym, że duża grupa Polaków chodzi we mgłę politycznej poprawności i na tym hajcu wybrała do Sejmu posłów całkiem kabaretowych, w rodzaju pewnej pani, która jest ojcem dorosłego syna.

Trzecia rzecz, to że we współczesnym świecie polityka jest sztuką robienia wrażenia. Niestety, nie wystarczy mieć rację. Wchodząc do polityki, trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu zgadzamy się na stosowanie takich metod, skoro używa ich od dawna “drużyna przeciwna”?

Te i wiele innych spraw powinni sobie przeanalizować wszyscy ci, którzy chcieliby Polski – może nawet nie tej “wielkiej” – ale na miarę potencjału gospodarczego, ludnościowego, bogactw naturalnych, Polski, której nie odpowiada rola peryferii niemieckich, przyczółka Izraela w Europie czy rosyjskiego korytarza – Polski zdolnej samodzielnie kształtować politykę w regionie w imię własnych interesów narodowych.

Nie zawsze nasze jest na wierzchu, i niezależnie od tego czy nasz okręt, łopocąc banderą, dumnie pruje fale czy ledwie trzyma się na powierzchni, powinniśmy jak każda dobra załoga stać na stanowiskach. Bitwa o Polskę wciąż trwa.

Pocieszając się, warto na koniec przypomnieć, że prawdziwa władza jest w Polsce położona nieco z boku. Być może Polacy, którzy w mechanizmie rządzenia naszym krajem zajmują poczesne miejsce, rozumieją, iż zamiast przyjmować dyspozycje, bardziej oplota im się wziąć kraj do kupy i zrobić regionalne mocarstwo. Przecież – mówiąc dzisiejszym językiem – takie państwo to więcej fanu.

\*\*\*

## **Ludzie są, jacy są**

Po ostatnich przegranych wyborach przeczytać można wiele gorzkich słów kierowanych pod adresem szarego Kowalskiego; a to, że mamy niby dwa narody, jeden polski, drugi polskojęzyczny, a to żeśmy są w swej masie ogłupieni przez TVN i inne szczekaczki, a to, że duch wyparował, zastąpiony pełnym brzuchem i pożądaniem błyskotek.

Pierwszą zasadą dobrej polityki jest właściwa ocena bagna, z którego chcemy wyleźć. Musimy obracać się w realu, a nie w krainie Misia Uszatka.

Nowoczesny naród polski zjawił się stosunkowo późno.

Do początków XX wieku "narodem" była brać szlachta. Fakt, było jej dużo, ale świadomość narodowa tam się kończyła. Chłop był "tutejszy", a przez lata gdy polskie państwo było tylko wspomnieniem, polski pan i rządcą często dawali mu wycisk. Jakub Szela nie wziął się z podtarnowskiego powietrza, lecz poczucia niesprawiedliwości.

To wstyd dla polskiego narodu, że dopiero ukaz carski zniósł pańszczyznę w Kongresówce. To wstyd, że szlachta, coraz bardziej wyobcowana z realiów ekonomicznych, dusiła chłopą, zamiast pomagać w jego kształceniu i cywilizacyjnym podnoszeniu.

Upadek I Rzeczypospolitej wytworzył też potężny ruch oportunistyczny, elit gotowych rezygnować z własnego państwa za cenę dobrobytu przyaustriackiego czy przyrosyjskiego. To właśnie ten nurt spowodował, że zdrada przestała być nie do pomyślenia i nawet została ładnie zracjonalizowana przez narodowych mędrców.

Wielu Polaków zdołało wybitnie zasłużyć się w obcej służbie, jak chociażby ordynat Aleksander Wielopolski Gonzaga Myszkowski z Chrobrza – swego czasu minister spraw zagranicznych Aleksandra II. Jest więc w polskiej tradycji myśl antysuwerenna zakładająca pogodzenie się z przyłączeniem Polski i Polaków do któregoś z mocarstw (słowianofile woleli Moskwę) i uznająca, a że nie tylko czasy mocarstwowe, ale również niepodległe ma już za sobą.

Tak czy owak, wybicie się naszego kraju na niepodległość w 1918 roku, a zwłaszcza wygrana wojna z bolszewikami, położyły podwaliny pod nowoczesny naród. W innych krajach Europy ów naród został wcześniej ukształtowany przez e-mancypację mieszczaństwa. W Polsce Bitwa Warszawska i masowy udział chłopstwa w obronie Ojczyzny były akuszerem nowej świadomości narodowej – już nie ograniczającej się do stanów wyższych, nie błakającej po narodowych ołtarzykach zdeklasowanej szlachty i wywodzącej się z niej inteligencji. Dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym naród polski zrodził się naprawdę. Oczywiście wielka wojna oraz prądy polityczne Europy temu sprzyjały, ale wojna z bolszewikami niczym cesarskie cięcie zrodziła nowoczesnego Polaka, świadomego wartości własnego narodu i kultury.

Niestety, wkrótce przegraliśmy II wojnę światową i wraz z nią naród polski utracił elity. Zostały wymordowane, rozproszone, wyrzucone poza kraj i zdemoralizowane. Na miejsce przyjechali

zabezpieczający interes ZSRS nowi ludzie.

Ich dzieci i wnuki mają do dzisiaj przemożny wpływ na to, co się w Polsce dzieje, co Polacy oglądają, co słuchają w radiu, czytają w gazetach. A jest to wizja polski podległej, przylepionej do obcych, chodzącej na pasku cudzoziemskich interesów.

Na dodatek warstwy społeczne polskiego narodu zostały w rezultacie wojny i komunizmu przenicowane, pozbawione zakorzenienia w kulturze i rodzinie. Chłopskie dzieci przeflancowane w PRL-u do podmiejskich blokowisk, wstydziły się pochodzenia i kultury ojców. A właśnie częścią tej kultury była polska tożsamość, był katolicyzm, była zdroworozsądkowa niechęć do dyktatu z zewnątrz.

Przy świątecznych fanfarach, w blasku symbolicznych gestów, Polska upada dzisiaj jako suwerenny organizm polityczny kształtujący sytuację na terenie zamkniętym Odrą i Bugiem. Znów mamy do czynienia z zarządzaniem w imię obcych interesów, a nie obroną ekonomicznych czy politycznych interesów narodu.

Aby Polska powróciła do gry, konieczna jest restytucja polskich elit, przeniesienie patriotycznej spuścizny i naznaczenie jej nowym sensem; jasne przetłumaczenie, dlaczego w dzisiejszej Polsce i trzeba, i warto być patriotą. Dlaczego opłaca się nam mieć silne państwo i stanowić silny naród. Dlaczego polskość jest atrakcyjna. Jest to z oczywistych powodów zadanie trudne, niektórzy twierdzą, że w dobie antypolskich przeciwności i obecnych procesów globalizacyjnych niewykonalne.

To nieprawda.

Polskość może wypełnić życie, trzeba ją tylko poznać, polskość to wspaniała spuścizna wieków samorządzenia i umiłowania wolności. Polskość jest w Europie wyjątkowa i to wcale nie w negatywnym znaczeniu.

Nasze nieszczęście polega tylko na tym, że wyrosliśmy na niesamowicie bogatej i zasobnej ziemi – ziemi, na którą wielu naszych sąsiadów od dawna ma ochotę.

Dlaczego Polacy głosowali tak, jak głosowali, dlaczego nie poszli do wyborów? Politycy polscy, zamiast wypominać nam, jacy jesteśmy, być może powinni zastanowić się nad sobą, być może powinni radykalizować swe działania i przedstawić nowe proste propozycje programowe. W Europie i na świecie dzieją się rzeczy dalekosiężne. Nie ma co liczyć na spokój. Zamiast biadać, trzeba zakasać rękawy; w końcu – co też pokazały ostatnie wybory – jest nas, Polaków, wcale nie tak mało. A reszta? Reszta jest jak lawa, wyleje się tam, pęknie tam, gdzie ją uderzymy czekaniem.

\*\*\*

## **Martin Luther King made in China**

Stanisław Michalkiewicz zwrócił kiedyś słusznie uwagę na tzw. konwergencję systemów – ponoć były sekretarz stanu u Nixona, Henry Kissinger, miał wyrazić pogląd, że tak summa summarum wszystko łączy się w jedno – poprzez przenikanie, komunistycznego yin z kapitalistycznym yang tworzy się mieszanka sierpa, młota i dolara.

Dożyliśmy czasów, kiedy ta nowa jakość widoczna jest okiem całkiem nieuzbrojonym. Oto niedawno w Waszyngtońskim Mallu odsłonięto z wielką fetą (przemawiał sam prezydent Obama) pomnik ojca murzyńskiego równouprawnienia w USA, Martina Luthera Kinga.

Patrzę na pomnik w TV i mówię do żony – popatrz, przecież on wygląda jak Kim Ir Sen! Okazało się, że wiele się nie pomyliłem, bo cały waszyngtoński pomnik wodza murzyńskiej rewolucji jest po prostu “made in China”.

Autorem dzieła jest słynny w Chińskiej Republice Ludowej państwowy artysta Lei Yixin, znany chińskim koneserom sztuki z kilkunastu pomników... Mao Tse-tunga. Jeśli popatrzymy na dolną część pomnika Martina Luthera Kinga, to okaże się, że “spodenki od garnituru” przypominają chiński mundurek – tak jakby część pomnika zaprojektowanego przez Yixina miała prefabrykowane elementy i artysta dorzucił tylko zrobioną na zamówienie “górkę”.

Oczywiście, chińska myśl twórcza może zyskać właściwą formę jedynie w chińskim tworzywie – dlatego uprzedzając pytania, spieszę donieść, że materiał – granit – też pochodzi z chińskich kamieniołomów; gdzie zapewne został pieczołowicie wydłubany z ziemi przez chińskich więźniów, być może miejscowych “obrońców praw człowieka”, których chińska władza skierowała na reedukację w kamieniołomach ludowych, aby przewietrzyli głowy i nabrali komunistycznej ogłady. Można więc śmiało zaryzykować twierdzenie, że pomnik na Mallu ucieleśnia hasło – “chińscy obrońcy praw człowieka, amerykańskiemu obrońcy praw człowieka w darze”. Fakt, że ci pierwsi przebywają akurat w obozach pracy, za drutami, naprawdę nie powinien nikomu spędzać snu z powiek – po prostu lepiej pracują, przez co mogą naszym kapitalistycznym handlarzom zaoferować lepszą cenę.

Pomnik Martina Luthera Kinga pozostanie świadectwem wielkiego postępu ludzkości i “wzajemnego czerpania z konkurencyjnych systemów tego, co najlepsze” – niewolnicza praca przymusowa w służbie postępu, demokracji i wolności!

Chiński projekt i tworzywo to nie wszystkie “problemy”; w części “kapitalistycznej” pomnik miał kłopoty z ochroną “praw do wizerunku”. W przypadku MLK prawa te są akurat w posiadaniu spadkobierców. Ci zaś zażądali od fundacji stawiającej monument wpłacenia stosownych tantiem za posługiwanie się konterfektem murzyńskiego “proroka”. No cóż, nie ma zmiłuj Winnetou, biznes jest biznes.

Tak czy owak, Winnetou okazuje się, że wariant chiński wplata się nam w sam rdzeń amerykańskiej symboliki “wolności”. I bardzo dobrze!

Model chiński, zdaniem wielu “z Bożej łaski” oświeconych kierowników naszej doczesności, może dostarczyć wielu inspiracji cywilizacji Zachodu, zwłaszcza tej dopiero co globalizowanej.

Jeżeli popatrzymy, co dzieje się w USA po 9-11, wyjdzie na to, że poprzez wzmocnienie kontroli nad obywatelami i wieloma aspektami życia społecznego, Amerykanie dziarsko kroczą w stronę chińskiego modelu.

Państwo Środka przerobiło na własnej skórze całą gamę mechanizmów politycznych, które w Ameryce dopiero raczkują lub są w powijakach. Kontrola przemieszczania się obywateli, eugenika, “planowanie” rodziny, sterowanie prywatnymi korporacjami przez państwo, wielkie inwestycje państwowe w infrastrukturę, kontrola mediów, cenzura Internetu itd. itp.

Wszystko to coraz bardziej upodabnia Stany Zjednoczone do znanych nam z historii najwspanialszych “stolic wolności” – gdzie, jak zapewnia poeta – “swobodno dyszyt człowiek”.

Jesteśmy świadkami coraz większego splotu ChRL z USA i chyba obydwaj, i Mao Tse-tung, i Martin Luther King, wiercą się w grobie – choć oczywiście zasadniczo z odmiennych powodów. Wiercę się i ja na swoim krześle, gdy tylko przypomnę sobie, dlaczego niczym ćma, przez żelazną kurtynę

dymałem do tego amerykańskiego światełka...

Nie lekceważmy inspiracji, jakiej chiński model dostarcza najwyższym elitom cywilizacji. Pozbawiony licznych demokratycznych niedogodności Chińczycy z politbiura mogą planować na okres 10 – 20, czy nawet 30 lat. Działając na niewyobrażalnie wielką skalę, prowadzą swój naród za rączkę, usuwając piętrzące się przeszkody. Czyż nie jest tak, że powinniśmy pójść razem z Chińczykami i “po życie sięgać nowe”?!

Konwergencja systemów? – Jak najbardziej! Czemuż by nie?! Jeden ma do zaoferowania dobrobyt, drugi kontrolę ludności. Tylko czy czasem nie wyjdzie z tego Frankenstein?

Ponoć wbrew temu co mówią klasycy rozczytani w Adamie Smithie, ludzie właściwie ukierunkowani przez państwo są w stanie góry przenosić (ewentualnie przekopać łopata i taczka Kanał Biełomorski).

W końcu nikt nie zaryzykuje tezy, że w III Rzeszy panowała swoboda, a proszę, ile dokonań zaliczyli na kontach tamtejsi naukowcy i inżynierowie. Gdyby Hitler nie dał von Braunowi zastępów niewolników, to pewnie do dzisiaj żaden Amerykanin czy Rosjanin nie spacerowałby po orbitalnych łąkach.

Jest oczywiście w tym wszystkim ten drobny problem, że nikomu z nas nie uśmiecha się żyć jak Chińczyk, jeść jak Chińczyk, pracować jak Chińczyk, rozmnażać się jak Chińczyk... No ale kogo to dzisiaj obchodzi? Przecież życie to nie jest koncert życzeń...

\*\*\*

## **Dwie drogi**

Kryzys finansowy w Unii Europejskiej oświetlił to, co od dawna było oczywiste – pod przykrywką deklarowanej jedności, “pomocy” w ramach funduszy wyrównawczych i rzekomej przyjaźni “gwiazdkowej” Europy bulgocą stare, narodowe interesy. Scalony “odą do radości” kontynent okazuje się być azylem obłudy. Ustawiony potwornym kosztem gmach europejskiej biurokracji ssie narodowe siły, mając ludzom przed oczyma etatystyczną ideologią nowego socjalizmu. Miało być tak słodko, a okazuje się, że gdy przychodzi co do czego, Merklowa piorunuje spojrzeniem Sarkozy’ego, ten zaś pomstuje na Camerona. Rozgrywką tym mniej lub bardziej biernie przyglądają się pożyteczni idioci – skaperowane elity z pomniejszych i “mniej ważnych” państw, wytresowani przez Brukselę do zgrabnego przyklaskiwania wbrew podstawowym interesom własnych narodów.

Piękno Europy i siła kontynentu tkwią w jego różnorodności wykształconej we wspólnym pniu kultury łacińskiej i chrześcijaństwa. Europie do szczęścia niewiele było trzeba. Wystarczyło powoli znosić bariery celne, otwierać kompatybilne rynki, by dobrobyt powoli stał się udziałem wszystkich. Europejscy kierownicy ideologiczni zdecydowali się jednak pójść drogą bolszewickiej centralizacji i quasi-państwowej federalizacji. Dzisiaj nie wiadomo, czym tak naprawdę jest zjednoczona Europa, jaki jest jej status prawny, a jaki status mają “państwa” składowe; kto Europą rządzi i w jaki sposób. Olbrzymia rozbudowana administracja, różne “prezydencje” i paneuropejskie instytucje są tylko fasadą kryjącą prawdziwe interesy “węgla i stali” – konkretnych koterii fartuszkowych arystokracji. Towarzyszy temu marnotrawstwo efektów pracy zwykłych ludzi, politycznie poprawny bełkot i biurokratyczne megaidiotyzmy zdolne rywalizować z komunistycznymi. Zjednoczona Europa, zamiast jednego rynku, oferuje redystrybucję iście bolszewickiej miary. Inżynierowie projektu zjednoczeniowego bełtają ludzom w głowach, zachwalając rzekome korzyści płynące z dopłat i

wyrównań.

Na przykładzie polskiej gospodarki wygląda to tak, że najpierw kraj stracił miliardy wydrenowane w czasie tzw. układu stowarzyszeniowego, kiedy polscy kompradorzy całkowicie "rozbroili" państwo, otwierając na oścież rynek bez żadnej wzajemności. Dzisiaj nikt o tym nie mówi, za to na murach można przeczytać jakie to projekty realizuje się za europejskie dopłaty...

Tymczasem silni pod pretekstem "sytuacji nadzwyczajnej" narzucają – już bez żadnych konsultacji czy referendum – nowelizację Lizbony, kreują nowe oberpaństwo pod niemiecko-francuskim berłem. W naszym sąsiedztwie dominującą pozycję zajmują Niemcy, zaś zrzeczenie się przez Polskę niepodległości praktycznie uniemożliwia Warszawie jakkolwiek odruch oporu. Żyjemy więc w czasach mirażu swobody, mirażu niepodległości, mirażu jedności, a przede wszystkim mirażu dobrobytu, kupionego za "nawis inflacyjny", na razie zaczarowany w słupkach kredytów. Czarodziej nie daje jednak już rady i mimo coraz szybciej powtarzanych bankowych zaklęć europejski system finansowy się rozleci. Nie tylko europejski.

Stanęliśmy na rozstaju. Wybór drogi będzie miał fundamentalne znaczenie cywilizacyjne. Prosto mówiąc, albo wolność, albo zniewolenie. Albo odpowiedzialność za własne losy, ryzyko na własny rachunek, rodzina i system ekonomiczny oparty na realnym pieniądzu, albo reglamentacja i regulacja nawet najbardziej intymnych sfer życia.

Niestety, ruch oporu, jaki pełza ostatnio w miastach Starego Kontynentu i Nowego Świata, oscyluje bardziej w stronę żądań "lepszego" niewolnictwa niż odpowiedzialności i wolności; jego uczestnicy chcą, aby państwo troszczyło się o nich lepiej i więcej rozdawało, nie zaś by zostawiło nas w spokoju, pozwalając troszczyć się o siebie; by nas nie okradało z efektów pracy. Czujemy, że państwo przestaje być nasze, że jest rządzone przez siły, na które nie mamy wpływu, chroni interesy oszustów i złodziei, pławiących się w dostatku z naszej krwawicy.

Reakcją na to skaranie Boskie powinien być nawrót do ograniczonego państwa, gwarantującego równość obywateli wobec prawa oraz ochronę policyjną i wojskową przed wewnętrznymi i zewnętrznymi spryciarzami. Tymczasem dzisiaj to państwo jest raczej z tymi spryciarzami sprzęgnięte, że to im właśnie służą mechanizmy tworzenia pieniądza z powietrza, likwidacji przepisów kielznających giełdowe rozpasanie czy organizowanych na olbrzymią skalę piramid finansowych, w jakich obstawiają naszymi losami. Państwo nie jest nam potrzebne, by pokazywać, jak żyć, czego i w jaki sposób uczyć nasze dzieci, jak organizować ochronę zdrowia. To możemy sami robić, wybierając z wolnej ręki najlepszych usługodawców.

Tylko powrót do zdroworozsądkowych zasad organizacji życia gospodarczego i politycznego może zapewnić dobrobyt i stabilizację. Druga ścieżka wiedzie natomiast przez spazmy buntów i morze niesprawiedliwości.

Którędy pójdzie Europa, Polska? Czy Stany Zjednoczone zatrzymają się na równi pochyłej? Aby wejść na dobrą drogę, nasze elity musiałyby powrócić do podeptanych wartości Zachodu, przywrócić szacunek dla pracy, oszczędzania, dobrych obyczajów i wolności. Przez świat musiałaby się przetoczyć kontrewolucja zdolna wskazać drogę wszystkim utopionym w matriksie. Dzisiejsze elity tej zmiany nie chcą, bo godzi w ich interesy. Pozostaje więc nadzieja, że wśród nas samych narodzi się ktoś, kto będzie w stanie podnieść sztandar...

\*\*\*

## Przyszłość czasu

nie tak dawno myślałem, że wszystkim nam Polakom chodzi o to samo, że dzielimy się na tych, którzy chcą Polski z lewa, na tych, co jej chcą nieco z prawa i na różnych naiwnych idiotów, którzy z głupoty jedzą obcy z ręki; generalnie więc, że wszystkim nam na ten czy inny sposób chodzi o własną Polskę. Kraj, w którym jesteśmy u siebie i nie musimy nikomu się tłumaczyć z tego, jak żyjemy, ani podskakiwać w takt obcych rytmów.

Chęć posiadania czegoś takiego wydaje się być tak oczywista, że nie warto było się nad tym zastanawiać.

Tymczasem niedawne wypadki w Warszawie pokazały, że tak nie jest; mamy w Polsce olbrzymie stronnictwo zaprzaństwa – Polaków, którzy nie chcą mieć niezależnego państwa, ponieważ obcy karmią ich suto lub mają mózgi sprane nowożytnym barbarzyństwem.

Z tymi ludźmi nie warto i nie trzeba dyskutować; ich należy zwalczać gdzie tylko można i jak tylko można podkładać im nogę.

Warszawskie wypadki ubiegłego piątku pokazały też, że jest w Polsce pokaźna liczba tych, którzy pragną normalnej Polski, a sytuacja zewnętrzna i kryzys światowy powodują, że coraz to nowi ludzie budzą się z antynarodowego oszołomstwa i zaczynają przecierać oczy.

Przyczynia się do tego odrodzenie świadomości narodowej w innych krajach europejskich – także tam, gdzie Polacy szukają szczęścia “zarobkowego”.

To wszystko spędza sen z oczu aparatczykom obecnego systemu rządzenia (a raczej administrowania) Polską.

Paradoksalnie więc zablokowanie trasy Marszu Niepodległości i towarzyszące zamieszki nie doprowadziły do skompromitowania idei patriotycznych rzekomym faszyzmem, lecz dały impuls do narodowego ożywienia – zwłaszcza wśród młodych. U każdego Polaka krew się gotuje, gdy słyszy, że wezwane przez polskich renegatów niemieckie posiłki zawodowych zadymiarzy, w dniu największego święta narodowego Polski znieważają polskie godło i flagę, że “polska” policja biernie przygląda się atakom na Bogu ducha winnych przechodniów niosących biało-czerwone flagi, że nie reaguje na brukanie przez wyrostków narodowych symboli.

Świadczy to o upadku państwa polskiego na skalę porównywalną jedynie do tej przedrozbiorowej; świadczy to również o tym, że mamy do czynienia ze zdradą części elit, które dla własnych celów politycznych są w stanie – podobnie jak kiedyś ich polityczni ojcowie – wezwać obce armie na pomoc. Dzisiaj wzywają anarchistów, jutro w obronie politycznie poprawnej ideologii czy też “walki z polskim antysemityzmem i homofobią” będą zapraszać Bundeswehrę czy wojska NATO.

Jeśli więc takie instytucje jak policja nie bronią dzisiaj interesów Polaków, to co robić?

Dróg jest kilka.

Po pierwsze, w ramach istniejącego porządku prawa można odbudowywać narodową samoorganizację finansową – kasy zapomogowe – oraz głosować nogami i portfelem, by nie wspierać firm i instytucji przeciwnych Polsce.

Można nie kupować pewnych towarów, w pewnych sklepach, zastosować akcję bojkotu obywatelskiego.

Po drugie, można organizować się – zrzeszać, łączyć, konfederować, wymieniać poglądami – wszędzie tam, gdzie mamy pewność, iż łączymy się z ludźmi, nieważne “czy z prawa czy lewa”, ale takimi, którym chodzi o Polskę. Na Polaków, dla których Polska nie jest wspólnym mianownikiem,



nie traćmy czasu.

Po trzecie, trzeba dbać o własne rodziny i właściwe wychowanie dzieci. Silna rodzina to silne państwo.

Nie bez znaczenia jest też powołanie do życia względnie wchodzenie w istniejące organizacje paramilitarne przysposabiające do służby wojskowej (jak "Strzelec") oraz tworzenie własnych oddziałów porządkowych mogących dać załóżek milicji zdolnej do ochrony legalnie prowadzonych demonstracji; organizacji wychowujących w duchu patriotycznym i chrześcijańskim.

Chodzi o to, by zawodowo przygotowanym agresorom, uzbrojonym w pałki, gaz, ochraniacze głowy i nagoleniowe, kamizelki kuloodporne, wkładki na zęby, gogle, przeciwstawić formacje podobnie przygotowane.

Paradoksalnie więc, interwencja grupki niemieckich wyrostków, bawiących się w zadymiarzy na ulicach polskiego miasta, może pomóc Polsce. Niemiecka plwocina na historycznym mundurze polskiego powstańca z Powstania Listopadowego sprawniej otworzy umysły otumanionego i uśpionego społeczeństwa niż niejedna akcja ulotkowa czy edukacyjna.

Marsz Niepodległości pokazał, że rosną szeregi Polaków, którzy chcą mieć kraj dla siebie, którzy po okresie konsumpcyjnego zachłyśnięcia błyskotkami, wyrastają z kompleksów, jakie w nich wmawiają warszawskie pseudoelity. Mimo zabiegów propagandowych "centrali" coraz więcej Polaków chce być dumnych i jest dumnych z Polski. Szczęśliwie zbiega się to z rewolucją technologiczną i osłabieniem monopolu środków masowego przekazu tzw. głównego nurtu.

Nic tak nie mobilizuje patriotyzmu, jak poniżenie Ojczyzny. Młody Niemiec, plując na polski mundur, pluł wszystkim Polakom w twarz. Teraz wyraźniej widać, że nie on jeden.

Państwo to walka o swoje. Przyszedł czas.

\*\*\*

## **Doprawianie tępej gęby**

Ostatnich gryzą psy – mówiły kiedyś słowa tandetnej piosenki. Tak już jest, że na pochyle drzewo każda koza skacze; przeszłe klęski nie sprzyjają dzisiejszym sukcesom.

Jest to szczególnie prawdziwe jeśli popatrzymy na "prasę", jaką miała Polska i Polacy w przeszłości. Dzisiaj, kiedy od czasu do czasu denerwujemy się z powodu nieśmiertelnej wańki-wstańki – "polskich obozów koncentracyjnych" i amerykańskich Polish jokes – warto pomyśleć, skąd się to wzięło.

Najbardziej gotowi są człowieka obrabiać znajomi i sąsiedzi. Tak było w naszym polskim przypadku. Jak zauważył Stanisław Michalkiewicz, Polska miała złą prasę jeszcze w Oświeceniu, kiedy to światli despoci w rodzaju carycy Katarzyny czy cesarza Fryderyka suto zaopatrywali różnych "encyklopedystów" – tych co to brylowali wśród elit europejskich wolnomyślicieli. Ci zaś odwzajemniali się karmiącej ręce (niestety obyczaj płacenia za poglądy nie jest nowy), dostarczając m.in. antypolskiej publicystyki. Dzięki temu nasze sąsiednie satrapie mogły z podniesionym czołem zorganizować rozbój, jakim były rozbiory. Encyklopedyści pomogli to "zracjonalizować". Tak powstała opinia o Polakach jako narodzie niezdolnym do rządzenia się, nienawykłym do racjonalnego myślenia, histerycznym i niedojrzałym. To po dziś dzień pokutuje w postaci głupiego narwańca lub pijaka, który postaw się a zastaw, zrobi każdą głupotę za pochlebstwo, czy też o przysłowiowym niemieckim "Polnische Wirtschaft".

To, jak głęboko osadzona jest doprawiona Polsce i Polakom gęba, najlepiej ilustruje praca

urodzonego w Cleveland profesora Mieczysława B.B. Biskupskiego o wizerunku Polaka i Polski w filmach produkowanych przez Hollywood w latach 1939-1945; książka, której nakład wydany przez University Press of Kentucky rozszedł się dość szybko, a polska wersja ze wstępem wspomnianego S. Michalkiewicza, zatytułowana "Wojna Hollywoodu z Polską" wywołała wiele kontrowersji.

Kilkanaście dni temu prof. Biskupski gościł w Toronto z wykładem właśnie o tej książce. Szkoda, że w kameralnym i elitarnym miejscu, bo profesor Biskupski mógłby zapełnić o wiele większą salę – temat jest nośny i ciekawy. Dotyczy wszak wielkiej części amerykańskiej Polonii i nas tutaj.

Biskupski obejrzał i przeanalizował tysiące filmów, jakie w okresie wojennym wyprodukował Hollywood. Sam ich opis jest porażający.

Rola Polaków jest przeinaczona – zupełnie jakby Polska nie była sojusznikiem Ameryki. Filmów o okupowanej Francji jest kilkanaście, o okupowanej Norwegii z osiem, Czechosłowacji – 6, zaś o polskiej okupacji, wszak niesamowicie dramatycznej, "spektakularnej", a przez to "filmowej" – 3, z czego jeden to komedia (sic!), której akcję umieszczono w zajętej przez Niemców Warszawie. Polacy, o ile nie są w tych obrazach kompletnymi idiotami, to przedstawiani są jako zdrajcy lub ludzie niezdolni do opanowania niskich emocji; których trzeba przywoływać do porządku praniem po pysku.

Historia wygląda mnie więcej tak, że polski rząd przedwojenny to dyscyplinowana przez Brytyjczyków banda zdemoralizowanych arystokratów i sympatyków Hitlera. Polskie kobiety są, zazwyczaj kochankami Niemców lub paniami lekkich obyczajów.

Monte Cassino zdobyli Amerykanie (jakżeby inaczej), wieszając na gruzach klasztoru amerykańską flagę; jedyny Polak występujący w tym filmie ma atak strachu i (znow) trzeba go prać po pysku, by oprzytomniał. Zadziwiająco często – podkreśla prof. Biskupski – Polaków, jak niegdyś murzyńskich niewolników, trzeba bić po twarzy. W ani jednym z nakręconych filmów Hollywoodu z tych lat Polak nie jest pozytywnym bohaterem. Co jest o tyle ciekawe, że w pozytywnym świetle bywają przedstawiani Włosi – było nie było, żołnierze państwa Osi. Zestawienie postaci filmowych przygnębia. Polacy należą do jedynej grupy etnicznej z wyodrębnianych w filmach, pokazywanej za każdym razem w negatywnym świetle.

## DLACZEGO?

Prof. Biskupski daje trzy odpowiedzi – 1. polityka zagraniczna USA, unikała drażnienia Sowietów; do tego stopnia, że projekty scenariuszy filmowych konsultowane były z ich ambasadą. Wielu autorów scenariuszy było członkami partii komunistycznej i działało z polecenia Moskwy lub też sympatyzowało z linią sowieckiej propagandy;

2. Żydzi z Europy Wschodniej, z których wielu pracowało i tworzyło Hollywood (jak choćby Warner Brothers, czyli bracia: Hirsch, Aaron, Szmul i Jacob Wonskolaserowie, urodzeni na terenie Polski). Wiek XIX był czasem, z jednej strony, kształtowania ruchów narodowych, z drugiej, syjonizmu i ludzie ci mieli wyniesione ze sztetli jak najgorsze zdanie o Polakach. Nie było to działanie centralnie zaplanowane, ale wynikało raczej z osobistych animozji. Podobnie jak dzisiaj niechęć do Polaków często jest kreowana przez emigrantów fali antysemitkiej, partyjnej czystki roku 68.

Trzecia przyczyna, to słaba pozycja samej Polonii amerykańskiej. Zdaniem profesora Biskupskiego, nasza grupa etniczna, w przeciwieństwie do żydowskiej, wolno przedzierała się na pozycje klasy średniej – w większości z terenu Polski emigrowali do USA niewykształceni chłopci. Była to również inna Polonia, niż ta sprzed pierwszej wojny światowej. Jako przykład autor "Wojny Hollywoodu z Polską" podaje smutny fakt, że w czasach I wojny zgłosiło się na ochotnika do armii polskiej kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi – a w czasach II wojny było to tylko ok. 600 osób.

Przyprawianie nam tępej gęby nie jest więc kwestią minionych kilku lat – lecz dziesięcioleci,

dziesięcioleci nieobecności normalnej Polski na mapie – raz z powodu rozbiorów, dwa z powodu okupacji sowieckiej i marionetkowego “socjalistycznego” państwa polskiego.

Ta gęba nie pomaga nam w życiu, ale jak wszystkie przeciwności powinna konsolidować. Nie zrobimy tego za jednym zamachem, ale stopniowo. Ona odpadnie jak strup z powodu przykładu każdego z nas. Powoli widać, że czy się to komuś podoba, czy nie, wychodzimy z tego z dołka.

\*\*\*

## **Fundament polskiej pierestrojki**

Z dzisiejszej perspektywy wydarzenia 1981 roku nabierają nowego koloru. Istota sporu o stan wojenny powinna iść zupełnie nowym tropem; widać, że nie chodziło w nim o to, by ratować peerelowską “niepodległość” przed interwencją bratnich wojsk – z dokumentów wynika jasno, że Sowieci nie mieli zamiaru bardziej angażować się militarnie na terenie Polski, a Jaruzelski mógł liczyć na pomoc jedynie w ograniczonym wymiarze.

A więc po co? Dlaczego gensek rozpoczął “wojnę z narodem”?

Prawdopodobnie klucz leży w geremkowych (i nie tylko) umizgach do Cioska i innych komuchów. Stan wojenny był przygotowaniem kolejnego etapu, miał być sitem, który oddzieli “konstruktywną opozycję” od plew niepodległościowych ekstremistów, pozwalając jednocześnie na przygotowanie gruntu pod zmianę systemu gospodarczego.

Za sprawą wydarzeń stanu wojennego i bezpośrednio po nim, z Polski wypchnięto część niewygodnych “ekstremistów”, pozostałą zaś “opozycję” ludzie Kiszczaka zdolali posegregować i przygotować. Mieli wszystkich, jak na talerzu. Zatrzymać można było za byle co, można było też legendować “własnych” działaczy; oddzielić tych, którzy głosili radykalne tezy o kopaniu komunistów, od “rozsądnych”, którzy widzieli w komuchach partnera do gry.

Przez te kilka lat “pedagodzy” z SB przysposabiali drugą stronę okrągłego stołu; prowadzili “rozpoznanie walką”. Bez stanu wojennego tak głęboki stopień infiltracji masowego ruchu byłby niemożliwy.

To jedno.

Druga sprawa – z pewnością równie ważna – dotyczy przemian gospodarczych, tych zaczętych jeszcze przed stanem wojennym, ale przez stan wojenny przyspieszonych – to właśnie w okresie lat 80. nomenklatura przygotowała się do skoku na kasę – do przejęcia majątku narodowego. To wówczas, w sytuacji powszechnych braków w zaopatrzeniu, panowie pokroju Kulczyka czy Solorza zaczęli biznesowe kariery jako właściciele “firm polonijnych”. To wtedy rozpoczęto na wielką skalę prowadzenie wykupywania na rynkach wtórnych polskiego długu przez podstawione firmy z rajów podatkowych; to wtedy prawdziwą kontrolę nad państwem przejął aparat bezpieczeństwa – WSW i SB.

W tej niby zaostrzonej sytuacji prawnej “swoi” dostali zielone światło do rozpoczynania działalności gospodarczej na dużą skalę. W 1981 roku istniało kilkadziesiąt “firm polonijnych”, w roku 1988 było ich 700. Większość stanowiła wylęgarnię razwiedkowego biznesu. Testowano zasady późniejszego uwłaszczenia i wiązania gospodarki z aparatem politycznym.

To wszystko umożliwił stan wojenny – pozwolił na ograniczenie swobód do grona wybranych ludzi. Architektami tego rozwiązania nie byli wyłącznie “ludzie aparatu”, ale również “konstruktywni” opozycjoniści, których wielu nosiliśmy wtedy na rękach. Dzięki tym rozwiązaniom członkom PZPR i

bezpieczeństwa łatwo przyszło ukraść dorobek milionów Polaków. Mówił o tym wprost w czerwcu 1989 Michnik w wywiadzie dla belgradzkiego tygodnika NIN: – jeżeli ludzie z nomenklatury wejdą do spółek akcyjnych, jeśli staną się jednym z właścicieli, wówczas będą zainteresowani, by tych akcyjnych stowarzyszeń bronić, a system akcyjny niszczy porządek stalinowski – przekonywał. Proceder rozkradania kraju dostał błogosławieństwo od ustosunkowanych za granicą szefów tzw. opozycji. Na to, w 1980 roku tamtejsza “Solidarność” w życiu by nie poszła. Ale stan wojenny pozwolił tamtą “Solidarność” przenicować w nową, według receptur podanych Cioskowi przez Geremka jeszcze przed 13 grudnia. Ta receptura była w 1981 roku jednoznacznie deklaracją zdrady przez środowisko besserwisserów wiadomej międzynarodówki.

Wprowadzenie stanu wojennego oczyszczało grunt pod dzisiejszą Polskę, pozwoliło z jednej strony wyrugować z gry “szowinistów, nacjonalistów, radykałów”, i wszystkich innych “krzykaczy”, których odłonił brzemienny w wydarzenia rok 81; których wyniosła pierwsza “Solidarność”, stan wojenny pozwolił też dokładnie przygotować środowisko samej opozycji.

Dzisiaj wiadomo, że osławiona polska konspira była lipą – gdyby Kiszczak chciał nas wszystkich wyłapać – mógłby momentalnie zapełnić więzienia właściwymi ludźmi. Niewiele by my to dało – pożyteczniejsza była kontrola. Bo kontrolowanie opozycji pozwalało też na prowadzenie gry z Zachodem; stawką był status elit politycznych peerelu w nowym ustroju; było zagwarantowanie braku rozliczeń i możliwości szybkiego bogacenia się; słowem, dzięki stanowi wojennemu transformacja ustrojowa dokonała się na warunkach komunistycznych.

I do takiej zmiany namawiał komunistów Geremek, kiedy zachwalał siłowe rozwiązanie i rozprawienie się z ekstremą: “Aparat ?Solidarności= musi zostać zlikwidowany przez państwowe organy władzy. (...) Po konfrontacji nowa władza państwowa mogłaby w innej sytuacji politycznej kontynuować pewne procesy demokratyzacyjne”.

Masowej, polskiej “Solidarności” bali się nie tylko komuniści – bali się jej członkowie wiadomej międzynarodówki, którzy mieli już gotowy własny plan “demokratyzacji” i nie mogli ot tak, oddać kierownicy w ręce “głupich polskich szowinistów” .

\*\*\*

## **Bez znieczulenia**

Coraz częściej lekceważenie zdrowego rozsądku, prawdy i zwykłej przyzwoitości przybiera takie rozmiary, że słowa, jakich się używa, nie mają żadnego sensu, a maskują jedynie siłę i groźby.

Trzy przykłady pozornie w ogóle niezwiązane.

1. W pewnym polskim miasteczku pewien bandzior “windykator”, który skupuje długi, a następnie ściąga należność, zdzierając skórę z różnych biedaków, przystawił podczas “pracy” pistolet do głowy “windykowanego”. Ot tak, aby trochę się gość przestraszył. Ten przeraził się do tego stopnia, że w sądzie złożył skargę. Pan sędzia uznał, że była to jedynie “niekonwencjonalna metoda windykacji”, w związku z czym bandziora (nieobecnego na sali na podstawie zwolnienia lekarskiego wydanego przez ginekologa) zwolniono od wszelkich podejrzeń.

Sąd dał w ten sposób do zrozumienia, że wyżej... nie podskoczysz: nie ruszaj naszych i bujaj się stąd frajerze...

To taka typowa sytuacja, kiedy lokalna mafia pokazuje, jak bardzo nas ma w nosie, i robi to w autorytecie prawa.

2. Inne mafijne pokazanie palca – tym razem na ogólnopolską skalę – ma miejsce wobec Telewizji Trwam. Ta obecna na polskim rynku medialnym od lat, poważna firma, nadawca o ugruntowanej pozycji, dysponujący dorobkiem i zabezpieczeniem finansowym, dostaje odmowę przyznania pasma na tzw. multipleksie, przez co od 2013 roku nie będzie mógł nadawać w Polsce “na falach eteru” wprost do anteny. Dlaczego akurat TV Trwam do takiego nadawania się nie nadaje? Ponieważ “nie ma dostatecznych podstaw finansowych gwarantujących ciągłość nadawania”.

Chodzący na pasku “grupy trzymającej władzę” urzędnik, bez zająknięcia kłamie jak z nut. Wszyscy, włącznie z nim samym, wiedzą, że kłamie, mimo to stada dziennikarzy przyjmuje tę wypowiedź za dobrą monetę. Nawet im do głowy nie przyjdzie zapytać, na jakiej podstawie rzeczony urzędnik doszedł do takiego wniosku, skoro nie analizował żadnych rozliczeń finansowych TV Trwam. Jaskółki mu doniosły? Nikt nie zadaje takich pytań, bo przecież wiadomo, że nie o tłumaczenia tu chodzi; że te uzasadnienia to zwykła lipa i fikcja.

Chodzi w nich jedynie o to, by dać do zrozumienia: mamy was w nosie, możecie nam nadmuchać, jesteście silni, mamy większość – bujajcie się mohery ze swoją telewizją, tu rządzi nasza paczka i tego nie puści. Mówi się tak niemal bez ogródek – brutalnie szydząc w żywe oczy; bez żadnego znieczulenia.

3. Trzeci przykład, międzynarodowy; rząd Węgier przedkłada interes własnego narodu nad interes banków zagranicznych, wprowadza nową konstytucję, reformuje prawo, broni interesów ludności – czyli działa tak, jak powinien i do czego został powołany. No i z miejsca przez całą międzynarodową soldateskę zostaje oskarżony o faszyzm, naruszenie standardów demokracji i inne wysrane z palca rzeczy.

Nikogo nie obchodzą racjonalne argumenty, ważne jest, że Węgrzy są “be”, a są “be”, bo usiłują wyłamać się spod dyktatu euromiędzynarodówki.

Wszyscy wiedzą, że stawiane Węgrom zarzuty można między bajki włożyć, a z Orbana żaden “Kadafi”, ale skonsolidowany atak nie ustaje, w myśl na nowo zinterpretowanej doktryny Breżniewa, wedle której “sprawa demokracji, w każdym kraju jest sprawą całego obozu demokracji”.

Oczywiście, tak jak wtedy w czasie inwazji Czechosłowacji, fakt, że Czesi i Słowacy żadnego socjalizmu nie zwalczali, nie miał znaczenia, tak też dzisiaj nie ma znaczenia, że demokracja na Węgrzech ma się jak najlepiej.

Nie liczą się fakty, “ważne to je co je moje” – czyli, jak w każdej mafii – nie wchodzi nam, bracie, w drogę.

Korupcja języka życia publicznego poszła tak daleko, że nasi “równiejsi” nawet nie silą się na jakiś sens. Wystarczy mówić byle co, nie ma się co plebsem przejmować, “plebs wszystko łyknie”. Wypróbowali kilka razy na żywym ciele, wychowali sobie pokolenia bezmózgowych troglodytów, którymi manipulują podług najbardziej prostych metod.

I dlatego polski windykat może przystawiać człowiekowi pistolet do głowy, a następnie na wesoło upokarzać, usprawiedliwiając nieobecność w sądzie papierem od ginekologa; dlatego jakiś administracyjny bubek skreśla Telewizję Trwam z listy polskich stacji naziemnych, tłumacząc decyzję wzruszeniem ramion i bąknięciem – “a, bo tak...”.

Buta mafijnych układów i pogarda dla zwykłych ludzi, przy jednoczesnym wycieraniu sobie gęby szczytnymi hasłami demokracji, wolności, praw człowieka; nicowanie pojęć niczym w systemach totalitarnych... Człowiek staje wobec tych zjawisk coraz bardziej bezsilny; coraz częściej bije głową w mur, zza którego słychać prześmiewczy rechot tych silniejszych, lepiej ustawionych uczestników systemu.

Tak jak rozrywa się tkanka życia małomiasteczkowej wspólnoty zatruta mafijnym układem, jak umiera obywatelska polityka i poczucie odpowiedzialności za kraj w mafijnym systemie zoligarchizowanej korupcji, tak gaśnie szansa na pokój tam, gdzie sprawiedliwość, wolność i zasada poszanowania suwerenności narodów wywołują uśmiezek na twarzach pretendentów na globalnych kierowników świata.

Czeka nas więc kolejna fala globalnych spazmów.

\*\*\*

## **2012 – walczymy do końca**

Gdyby tak u zarania tego ponoć krańcowego roku (Majom zabrakło kartek w kalendarzu, choć oni, szczęśliwi, czasu już nie liczą) usiąść i spokojnie podumać, okaże się – mimo całego podenerwowania i niepokoju – że sytuacja jest niezła.

Jak mówił klasyk marksizmu, byt kształtuje świadomość, a więc punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. I jeśli tylko “siedzimy” sobie na zydelku gdzieś w Azji (Indie, Chiny), w Ameryce Południowej (Brazylia, Chile), czy nawet w Afryce (Nigeria, Kongo), to trudno nie dostrzegać poprawy sytuacji. Wielkiej poprawy!

Gdy poprawia się Amerykaninowi, to znaczy, że może sobie zarzucić dom różnymi fantami, ewentualnie kupić na kredyt nowe auto; gdy poprawia się Nigeryjczykowi, to znaczy, że nie chodzi głodny, a jego dzieci mają czas na naukę w szkole. Wielki motor chińskiej gospodarki nakręca sprężyny w wielu bieda-krajach, zwłaszcza afrykańskich. Setki milionów ludzi wydobywają się z bagien ubóstwa; setki milionów ludzi przesiadają się z rowerów na skutery, kupują telewizor i wkładają komórkę do kieszeni.

Gdyby więc mierzyć poziom globalnego szczęścia metodą “pogłówną”, to okaże się, że nigdy w historii tak dobrze nie było.

Problem w tym, że ci, którym jest coraz lepiej, mieszkają daleko stąd – coraz częściej kłopoty, od których zdążyliśmy odwyknąć dwa – trzy pokolenia temu, dają znać o sobie. Nam, najbardziej uprzywilejowanym mieszkańcom planety! Nasz pociąg wydaje się jechać bocznym torem.

Niektórzy gospodarkę są skłonni traktować jako grę z zerowym sumą – jeden tort do podziału - jeśli jedni dostają więcej, to inni mniej; jeśli jednym się poprawia, to innym pogarsza, jeśli dajemy jednemu, innym musimy zabrać. Jest to błąd, który ignoruje fakt “dorabiania się” tortu. Jeśli więc w Azji czy Afryce się poprawia, to wcale nie znaczy, że nam musi się pogarszać. Jeśli tam rośnie klasa średnia, to nie jest to równoznaczne z tym, że tutaj musi zanikać.

Dlaczego nam się pogarsza? Dlaczego czujemy, że to pokolenie żyje gorzej od poprzedniego, a kolejne będzie żyło gorzej od naszego? Zrządzenie losu? Siła wyższa?

Niestety, prawda jest prosta – wystarczy popatrzeć w lusterko. Przejrzeć w nim powinni się przede wszystkim nasi kierownicy – elity Zachodu. Któż jak nie one odpowiadają za upadek?

Ale my też.

W końcu to nasza cała reszta pozwoliła i pozwala sobie w kaszę dmuchać. To my przez lenistwo i głupotę pozwoliliśmy odebrać przyszłość naszym dzieciom.

Lista grzechów jest długa i bynajmniej nie unikatowa – obejmuje proces “imperialnego skostnienia”, głupienia i rozpuszczania się w dobrobycie. Kolejne pokolenia rosły w przekonaniu, że ich uprzywilejowana pozycja dana jest raz na zawsze. Oświata, postawy obywatelskie przestały mieć zasadnicze znaczenie dla osiągnięcia osobistego powodzenia. Czy się stoi, czy się leży, dom i

samochód się należy. Po to jest państwo, by o nas dbać, wszak jesteśmy pępkiem świata... Słowem, późny Rzym.

Na ignorancji i głupocie gawiedzi żeruje zaś chciwość watah giełdowych spryciarzy.

Henry Ford stworzył nowoczesny kapitalizm, słusznie wnioskując, że pracownika musi być stać na kupno produkowanego towaru. Dzięki temu w fabrykach zaszumiły przyspieszające taśmy. Dzisiaj, nowi kierownicy przemysłu dobijają kapitalizm, przedkładając szybki zysk. Wystarczy przenieść produkcję do Pernambuco, gdzie zacządni proleci z pocałowaniem ręki tyrają za miskę ryżu; wystarczy dać każdemu Amerykaninowi łącznie z psem Fido dostęp do łatwego kredytu, a jego wnuki obciążać kosztami instytucji upadającego państwa, by szybko milionowe gołąbki trafiły do korporacyjnej gąbki. Ford myślał perspektywicznie z myślą o wnukach, dzisiaj dominuje tymczasowość, kosztem wnuków.

Rozbroiliśmy się też ideologicznie, rugując tradycyjne wartości z kanonu naszej cywilizacji – wszystko to, co dawało nam imperialną moc i pozwalało podbijać kontynenty, zostało oplute i wyśmiane. Zamiast starych wartości pojawiły się konsumeryzm i dyktatura tolerancji – pojmowanej jako pochwała dewiacji.

Upadek obyczajów, brak postaw obywatelskich i patriotycznych, pochwała hedonizmu i “użycia” zaowocowały katastrofą demograficzną.

Z próżnego i Salomon nie należy. Kiedy nie ma ludzi – nie ma gadania.

No i tak sobie umieramy w podrygach, od czasu do czasu wołając, że król jest nagi. Od czasu do czasu, gdy groza najdzie, ten czy ów jeszcze krzyczy, ale tego walca nie da się już zatrzymać. Globaliści pocieszają się, że dzięki temu dobrobyt przeczuci się na Chińczyków. Tylko czy rzeczywiście chodziło nam o to, by stało się to naszym kosztem, czy musimy popełniać gospodarcze harakiri?

Sądząc po niedawnych ruchach lotniskowców, chyba jednak założenia były nieco inne... Dzisiaj dociera do niektórych kierowników, że zblądzili – zaczynają się jakieś próby nawrotu – tu, w Kanadzie, głośniejszy mówi się o szacunku do monarchii; w Europie przypominają sobie o chrześcijańskich korzeniach.

Czy jest jeszcze szansa? Nie, nie ma – nie dla Zachodu! Na gruzach starego porządku zrodzi się nowy. Ludzie rodzą się i umierają, państwa powstają i giną, cywilizację wzrastają falą i rozsypują się w pył wieków. Raz walczymy z nadzieją na zwycięstwo. raz w okopach św. Trójcy. Ale walczyć zawsze trzeba do końca.

\*\*\*

## **Przeszły ciarki przez Czerską**

Wokół Grzegorza Brauna rozpuętała się “medialna” burza. A wszystko przez wyrażoną na spotkaniu ze studentami KUL-u jednoznaczną oceną postaci abpa Józefa Życińskiego.

Grzegorz Braun w ostatnich czasach stawał się w Polsce coraz bardziej popularny – zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej. Stało się tak za sprawą swoich filmów dokumentalnych, z którymi jeździł po kraju. Przy okazji tych filmów widzowie mieli okazję posłuchać, co Grzegorz Braun sądzi o dzisiejszym układzie w Polsce.

W sobotę z półrocznym opóźnieniem odbyła się telewizyjna premiera bardzo ważnego filmu dokumentalnego Grzegorza Brauna – “Eugeniki” – o pseudonaukowych korzeniach rozpowszechnionych do dzisiaj poglądów o potrzebie selekcjonowania ludzi; naukowej decyzji o tym

komu przyznaje się “prawo do życia”, a kogo przy wejściu odepchniemy od drzwi do tego świata. Film porażający, ale dzięki podrzuczonemu przez GW tematowi, zamiast debaty o “Eugenicie”, podniosło się do nieba larum, że oto podczas niedawnego pokazu filmu Braun miał o biskupie powiedzieć że “łajdak” i “kłamca”. Te tłuczono w mediach na okrągło z wielkim zachnięciem. Braun powiedział tymczasem, że Józef Życiński jako uczestnik życia publicznego w Polsce był kłamcą i łajdakiem.

- Moim zdaniem – mówił Braun – w ostatnich dwudziestu latach swojego uczestnictwa w życiu publicznym opowiedział się po stronie wrogów Kościoła i wrogów państwa polskiego. Tak uważam. (Szerszą wypowiedź Brauna na ten temat zamieszczamy na str. 12.) Abp Życiński był ulubieńcem “Gazety Wyborczej”, gdzie często umieszczał teksty.

Być może są to słowa “niepolityczne”, być może “niegrzeczne”, z pewnością jednak jak najbardziej uprawnione. Wielu katolików jest zdania, że postawa abpa Życińskiego przyczyniła się do zamętu w ich sercach.

Czy w Polsce takich rzeczy nie można debatować? Cicho sza? Bo o tym co nadaje się do ochrony w ramach wolności słowa, decyduje “Gazeta Wyborcza”, która swobodnie dzieli Polaków na równych i równiejszych, generalnie stosując filozofię Kalego – jeśli jej paputczycy odsądzają od czci wiary, na przykład o. Tadeusza Rydzyka, to jest OK, ale jeśli ktoś “bije w naszych”, no to rozlega się donośne aj-waj.

Osoby publiczne siłą rzeczy poddają się pod publiczny osąd i Grzegorz Braun ma do tego osądu prawo, zwłaszcza na forum studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Sprawa ma dwie konsekwencje.

Po pierwsze, biedni studenci KUL-u muszą teraz obowiązkowo świecić oczami, że takiego Brauna w ogóle wpuścili do szkoły. Doszło nawet do kabaretowych konstatacji “grona pedagogicznego” – że gromkie oklaski, jakimi nagrodzono wypowiedź reżysera na temat zmarłego nagłą śmiercią hierarchy, to była desperacka próba przerwania mu “błuznierczej” wypowiedzi.

Oczywiście mimo tej “próby przerwania” mleko się rozlało, co nie uchroniło nauczyciela akademickiego – opiekuna koła, które zaprosiło Brauna na KUL – od dyscyplinarki.

Druga konsekwencja afery to pogroźenie palcem wszystkim ewentualnym organizatorom spotkań z Braunem w środowisku akademickim. Dwa razy pomyślą, zanim narażą się na represje ze strony miłujących wolność słowa środowisk “Gazety Wyborczej” czy innego salonu.

Dobiegamy chyba do końca etapu, bo na naszych oczach toczy się coraz ostrzejsza walka o Polskę. Młodzież to dzisiaj jeden z jej frontów. Przez te oklaski dla Brauna przeszły ciarki przez Czerską, że oto rząd dusz “czerwonego” wymyka się z łapek; że są potężne środowiska narodowe, katolickie i tożsamościowe, które choć niepokazywane w TV, to jednak istnieją.

No i dobrze, bo ostatnia nadzieja leży w buncie młodzieży przeciwko rozwalaniu Polski przez oligarchię, której przykładowym wykwitem jest obecny rząd; w buncie przeciwko “styropianowym” kombatantom wykreowanym przez WSI.

Oczywiście, każdy bunt można skanalizować i z pewnością nad tym też się już dzisiaj pracuje. Są nawet tacy po prawej stronie, którzy uważają, że sanację zrobią byli “inżynierowie” ze służb – ci narodowo uświadomieni.

Problem w tym, że pochodzą z byłych służb generalnej guberni – problem w braku niepodległości PRL-u. Gdybyśmy byli Chinami czy Albaniami – to co innego. Można bowiem powiesić wszystkie psy



na komunistycznej Albanii – ale w przeciwieństwie do PRL-u było to państwo niezależne.

Z inspiracji polskich środowisk “byłych służb” wypływają też dzisiaj “patriotyczne” projekty – mają jeden feler – nie wiadomo do końca, czy są to “wrzutki” operacyjne, czy nie. I tak już pozostanie w naszym pokoleniu.

Dlatego liczy się młodzież i o jej serca musimy walczyć. Grzegorz Braun walkę tę prowadzi w dobrym stylu – mówi o sprawach ważnych prostym, barwnym językiem, bez patosu i nadęcia. Przez tę umiejętność właśnie wszedł na radary salonów warszawki i przez to padł rozkaz, by go lekko ustrzelić.

Braun ma jasno zdefiniowane poglądy, a więc łatwo wyrwać coś z kontekstu i zakręcić na faszyzm, antysemityzm, szowinizm czy – jak w przypadku wypowiedzi o Życińskim – niemalże bluźnierstwo. Czerwona sukienka to nie usprawiedliwienie, lecz obowiązek, i za ten obowiązek można rozliczać. Również tak po prostu, po ludzku.

Prawda nie broni się sama i dlatego dzisiaj wielki szacunek dla Grzegorza Brauna. A KUL – cóż, uniwersytety jak ludzie, mają okresy świetności, mają i upadku.

\*\*\*

## **Dlaczego?**

Wracam do sprawy Grzegorza Brauna, bo mnie boli. Między innymi dlatego, że przez cały raban, jaki “Gazeta Wyborcza” uruchomiła, rzekomo dla obrony pamięci zmarłego abpa Życińskiego, zeszła całkowicie z radarów “Eugenika”, czyli film Grzegorza Brauna, z którym reżyser jeździł po kraju, nie mogąc się doprosić emisji w TV. Film sprawnie zrobiony i stanowiący poważny argument w dyskusji nad in vitro. Donośny głos w obronie życia od momentu poczęcia do samej śmierci. “Eugenika” obnaża rdzeń całego procesu, mianowicie pokusę SELEKCJONOWANIA ludzi. Pokazuje, jak tzw. naukowcy w swojej pysze zaczynają przypisywać sobie prawo do decydowania o tym, kto ma żyć, a kto się na ten świat nie nadaje, i bez zbytnich skrupułów eliminują tych ostatnich. To wybieranie do życia następuje wbrew podstawowej logice, ba, nawet wbrew czysto naukowej argumentacji biologicznej. Zresztą owi demiurdzy współczesnego społeczeństwa nie są w stanie wykrzesać w laboratorium jednego istnienia – mogą tylko uśmiercać.

Raz – selekcionując zarodki ludzkie na szkle, innym razem w przypadku najbardziej drastycznych scenariuszy, wysyłając niepełnosprawnych do gazu...

Zabolało mnie to, że Episkopat Polski – czyli było nie było (niektórzy twierdzą, że szczątkowy) autorytet moralny kraju, potępiając Brauna za wypomnienie abpowi Życińskiemu oczywistych faktów z życiorysu, nie wspomniał nawet o filmie, ani też nie przypomniał o całym problemie, przestrzegając, by jedno nie przestaniało drugiego.

Sam odczuwam zamieszanie – o jakim mówił Grzegorz Braun podczas spotkania ze studentami klubu studenckiego KUL-u – jak to jest, że zmarły arcybiskup tak gładko i blisko współpracował z całym środowiskiem “Gazety Wyborczej” – z gruntu wrogim m.in. tej fundamentalnej sprawie, jaką jest obrona świętości życia ludzkiego.

Episkopat Polski nie ustosunkował się do tego za życia jego Eminencji, a natychmiast zareagował na doniesienia “Wyborczej” o słowach Brauna, wygłoszonych, było nie było, na kameralnym spotkaniu ze studentami.

Tymczasem eugenika do dzisiaj przeżera otwarte rany ludzkości. Do dzisiaj wydaje zatrute owoce, czy to w postaci dyskusji nad zabijaniem osób niepełnosprawnych, czy rezygnacją z walki o życie ludzi śmiertelnie chorych czy choćby w trakcie selekcji “na oko” zarodków do zapłodnienia in vitro. Cywilizacja śmierci wydaje się wygrywać od Chin po Kanadę. Są to rzeczy szczególnie mi bliskie, ponieważ moja córka ma zespół Downa, wykryty jeszcze podczas standardowego testu ciążowego. Rzeczą normalną w takich wypadkach jest kierowanie na “konsultacje genetyczne”. Pod tym enigmatycznym pojęciem ( bo co tutaj jest do konsultowania, skoro genotypu dziecka w łonie matki nikt nie zmieni) kryje się namawianie do zabicia płodu – poprzez “pomoc przy podjęciu decyzji”. “Pomoc” ta polega głównie na malowaniu w czarnych kolorach problemów, jakie dziecko z zespołem Downa, czy jak to dawniej mówiono mongolizmem, napotka.

Na razie jeszcze nic nie jest pod przymusem, na razie “namawiają” – ale – przecież bywało już inaczej, i to nawet w takiej oazie wolności i praw, jak USA. I o tym właśnie opowiada dokument Brauna – pokazując ludzi “niepożądanych”, czyli tych z problemami psychicznymi czy uzależnieniami, których na początku XX wieku zmuszano do sterylizacji i aborcji potomstwa. Jeśli bowiem aparat przemocy, jakim dysponuje każde państwo, spręże się z pseudonaukowymi dywagacjami “eugeników/genetyków”, dostajemy total w czystej postaci. Z dokumentów powyciąganych przez Brauna płynie wiele interesujących wniosków, jak m.in. to, że hitlerowscy “naukowcy”, jak osławiony dr Mengele, sponsorowani byli i przeprowadzali eksperymenty za pieniądze amerykańskich zwolenników hodowania nowych ludzi, jak chociażby Rockefeller, czy też że Hitler uważał narodowy socjalizm za “biologię w działaniu”.

“Eugenika” jest więc filmem ważnym i stanowiącym jeden z istotnych głosów w jakiegokolwiek sensownej debacie nad prawnym regulowaniem tzw. reprodukcji człowieka.

Eugenika zajmuje poczesne miejsce we wszystkich bezbożnych utopiach, jak choćby tej “najlepszej” opisanej przez Aldousa Huxleya w “Nowym wsapaniałym świecie”.

Próba selekcjonowania ludzi do życia, hodowania człowieka, to jedna z największych pokus poprawiaczy Pana Boga, to próba bycia “jak Bóg”. Oczywiście skazana na fiasko topiące świat w morzu krwi – raz leżącej się do ulicznych kratek, innym razem za zasłonką do zlewu, mimo to podejmowana na nowo co pokolenie lub dwa.

Nikt nie wie, dlaczego rodzą się ludzie inni, z pewnością natomiast wiadomo, że są potrzebni. Sam powiem, że dzięki mojemu dziecku jestem – mam nadzieję – lepszym człowiekiem. Bo oni są potrzebni dla nas, byśmy mogli zrozumieć życie jako takie, w tym nasze własne.

Film Brauna pomaga to sobie uświadomić. Niestety, został storpedowany przy okazji bombardowania, jakie za sprawą inżynierów społecznych z Czerskiej przypuszczono na reżysera. Zręczna to i szatańska zagrywka.

Dlatego mnie boli, że nie dostrzegają tej oczywistości ludzie powołani do tego niejako z urzędu, że ciskając gromy na głowę reżysera, tracąc z oczu pełny obraz.

Współczesnemu człowiekowi łatwo jest ustawić się w pozycji lepiej uświadomionych wykładowców Boskiej Woli i tłumaczyć, że Pan Bóg pragnie tego, a tego nie chce. Ileż mamy wokół takich komentatorów zasłaniających rzekomo lepszym wglądem i “oświeceniem” własne słabości i próżność.

Pan Bóg każdemu daje, ile powinien – w sam raz, jednym więcej, innym mniej, ale też wymaga w zależności od obdarowania. Co ciekawe, większość świętych była ludźmi prostymi – czasem nawet bardzo – a mimo to, albo może właśnie dzięki temu, Bóg był blisko nich.

Dlaczego?

\*\*\*

## Moje krakowskie kościoły



Moje kościoły zawsze były święte. Wychowałem się – jeśli tak można powiedzieć – na krakowskich domach Bożych. Były wspaniałą odtrutką na komunizm; oazy wolności ducha, świątynie polskiej historii, skąpane w ciszy witrażowego światła bramy wiecznego świata. W upalne letnie dni ich “klimatyzowane” wnętrza zapraszały na chwilę wytchnienia. Przy okazji nie sposób było się nie pomodlić.

Nie było lepszych lekcji religii niż te kilkusetletnie domy Boże, wznoszone często jako wota dla chwały Bożej w podzięcie za zwycięstwa naszego Imperium. Zastanawiałem się wtedy naiwnie, po co Bogu okazywać takich przepych, skoro Pan Bóg i tak ma wszystko i wszystko jest przez Niego? Te strzelające gotykiem w niebo budynki kosztowały majątek - ale były po prostu świadectwem naszej wolnej woli – tego, że chcemy Bogu nieść w darze to, co sami uznaliśmy za cenne na ziemi, że wiemy, iż wszystko co mamy, jest dzięki Niemu. Te monumentalne budowle były też pomnikami porządku świata, wznoszone na planie krzyża z ołtarzem skierowanym ku Ziemi Świętej, z witrażami opowiadającymi historię ludzkiego zbawienia, zwieńczone krzyżem, pod którym zaraz zawieszona była korona lub królewskie jabłko.

Wchodziliśmy do nich w butach ubłoconych komunizmem, uświnieni matrixem bezbożnej okupacji; i w nich to błoto nam odpadało od zelówek, a świat doczesny nabierał dystansu. Nic na świecie nie trwa wiecznie, tym bardziej mimo swych “tysiącletnich” deklaracji ludzkie totale konstruowane w imię ubóstwienia “superczłowieka” i gnębiące wszystkich nieprzystających do tego wizerunku – skazane były na rozsypkę.

Krakowskie kościoły oprócz wspaniałej lekcji religii, były też manifestem antykomunistycznym. Oczywiście były także Domem Bożym z najświętszym sakramentem i wiecznym światłem płonącym w lampce. Rzeczą narzucającą się samo przez się było mówienie ściszym głosem, przyklęknięcie przy przekraczaniu linii ołtarza, tyłem można było się obracać dopiero po przyklęknięciu i pożegnaniu się z prawdziwym gospodarzem.

Przypomniałem sobie ten świat, bo ostatnio byłem w Mississaudze na bierzmowaniu dziewczynki szkolnej z pewnej szkoły katolickiej. Przyszedłem 10 minut wcześniej. Ale i tak czekaliśmy na biskupa, który ostatecznie i przyjechał. W kościele panowała atmosfera jak na sali gimnastycznej przed wejściem dyrektora szkoły – ludzie żartowali, rozmawiali o d. Maryni, stojąc tyłem do ołtarza, przekrzykiwali się i chichotali. Słowa księdza, który ostatecznie przez mikrofon coś tam usiłował zakomunikować, ledwie przeciskały się przez rejwach. Trudno się modlić, kiedy własnych słów człowiek nie łapie. Założę się, że dla tych dzieci nie była to już oaza krystalicznego powietrza izolująca od smrodu współczesnego świata. Była to po prostu sala przyszkolna, w której miało dojść do jakiejś coraz mniej rozumiałej ceremonii, jakoś tam świadczącej o dojrzałości i możliwości podejmowania decyzji na własną rękę. Ten kościół nie był jeszcze opuszczony, ale był już zagłuszony, Bóg został z niego bardziej lub mniej grzecznie wyciśnięty, zepchnięty gdzieś tam pod ołtarz, zamknięty do odsuniętej na bok skrzynki tabernakulum. Ten Bóg jest potrzebny z doskoku, tylko od czasu do czasu, kiedy sami nie potrafimy załatwić spraw, czy nagle wezmą nas nie wiedzieć czemu głupie obawy czy weltschmerze. Uświadomiłem sobie, że oto jest to już tylko świątynia “handlowa”, skomercjalizowana; po prostu zakład usługowy, który ma zaspokoić tę wciąż do końca niezadeptaną potrzebę nie wiadomo czego.

\*\*\*

Gdy wszedłem do katedry w Beauvois, zaparło mi dech w piersiach. Kościół na wpół rozwalony, powspierany i porozpierany drewnianymi przyporami, wznoszący się na może 10 pięter, wciąż czynny, ale już pusty – starożytny korab minionej cywilizacji, z której uszło powietrze, która straciła ducha. Sztucznymi zagrodami i kakofonią codziennego zabiegania zagłuszyła niebiańskie chóry wiecznej egzystencji, sprowadziła do parteru myśli uciekające górnolotnie, wypróżniła się i wymiotowała na samą siebie. Wydmuszka, wciąż jeszcze ładnie podmalowana, wciąż jeszcze wzbudzająca zachwyty na twarzach turystów z ChRL-u, znak niegdysiejszej mocy, która zdolna była uczynić sobie poddanym cały świat i padła ofiarą własnego sukcesu. Tak to już jest, że w naszej historii cyklicznie budujemy na chwałę Bożą i upadamy, kiedy kolejne pokolenia przypisują sobie zasługę sukcesów. Banalnie mówiąc, jest to historia ludzkiej pychy, podnoszącej łeb, gdy tylko nabieramy przekonania o własnej wszechmocy; gdy ulegamy iluzjom czerwonej herezji toczących nas od tysięcy lat, pętających się po świecie od czasów faraonów.

Nasza zachodnia cywilizacja upadnie, jeśli nie będziemy w stanie “po krakowsku” odbudować naszych świątyń. Na razie na to się nie zanosi. Rosną całe pokolenia ludzi, którzy nie wiedzą nawet, że tak można; doskonali niewolnicy, którym odebrano samo wyobrażenie wolności, zamknięci wykastrowaniem własnej wyobraźni.

\*\*\*

## **A może to tylko krowa...**

Kolega mówi, że ma poczucie rozdwojenia. Kiedy nie myśli o polityce, to nawet sobie radzi; tam zakombinuje, a tu dorobi i stać go na kilka rzeczy, o których jeszcze 20 lat temu nie mógł nawet pomarzyć. Kiedy jednak włączy telewizor, no to trzęsą nim drgawki.

W tym rozwarstwieniu kryje się smutna prawda, że choć ludzie żyją (zwłaszcza w dużych miastach) dostatniej niż kiedyś; choć wszyscy mają samochody, a w sklepach jest co kupić, choć można wyjechać za granicę do pracy, to Polska jako suwerenne państwo nie istnieje, a debata publiczna, którą prowadzą "politycy", koncentruje się na tym, że "prezes Kaczyński" jest ponury i zgorzkniały. Z kolei "prezes Kaczyński" ostrzega przed kompromitowaniem Polski przez rząd Tuska w oczach Zachodu... To tylko drobniutki przykład ułożenia umysłów polskich polityków.

Bo przecież czemuż to mnie ma obchodzić, czy Kaczyński lub jakikolwiek inny polityk jest wesoły czy ponury, nie jestem jego żoną, ciekawi mnie bardziej, jaki ma program i czy jest kompetentny, zaś kompromitowanie się przed Zachodem zakłada, że powinniśmy dbać, co ten domniemany "Zachód" o nas sądzi. Wyłazi więc kompleks prowincji. Jeśli przed kimkolwiek polityk się może skompromitować, to bardziej już przed własnymi wyborcami... Ale w Polsce polityk nie odpowiada przed wyborcami, tylko przed narodem. Takie perełki można mnożyć. Bo polska polityka jest jak teatrzyk zielone oko – mniej lub bardziej dramatyczne przedstawienie dla gawiedzi zasiadającej przed telewizorami.

Kraj jest rozszarpywany na prawo i lewo, i to nie tylko pod względem gospodarczym, ale też swych interesów strategicznych. Ponieważ zaś nie ma wielkich polskich korporacji, wielkiego polskiego kapitału i dużych polskich ośrodków politycznych, no to pozostaje symbolika, folklor i zespół "Mazowsze" (no bo już nie "Śląsk"). Chodzi więc w tym wszystkim o to, czy Polacy chcą mieć Polskę. Polskę zdefiniowaną jako suwerenne, dobrze zorganizowane, praworządne i silne państwo, czy też taka Polska ich nie zajmuje. Obecnie można z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładać, że raczej nie. Oznacza to, że rzeczywiście teren pomiędzy Rosją a Niemcami zostanie "zagospodarowany" przez obcych. Polacy nadal będą mieć samochody, wakacje i możliwość pracy za granicą, ale będzie to pod względem politycznym obszar spacyfikowany, niezdolny kształtować własną politykę. Cokolwiek by mówić, nie widać w Polsce skutecznych elit zainteresowanych odbudową znaczenia kraju. A jeśli są, to bardzo dobrze zamaskowane.

Tymczasem PiS – główna siła opozycyjna – zamiast mówić językiem konkretów i przedstawić kilka założeń programowych zdolnych zjednoczyć ludność, mówi językiem ładnych biało-czerwonych sloganów, polskie życie polityczne rozgrywa się w jakiejś niby-rzeczywistości poważnie odstającej od realu. Oderwanej od takich problemów, jak tworzenie nowych miejsc pracy, kryzys demograficzny czy zasady eksploatacji polskich bogactw naturalnych. Mówi się natomiast, kto jest wesoły i pogodny, a kto naburmuszony i nieobyty w kręgach.

Jedni liżą pupy ościennym i zamorskim suwerenom, inni wygrażają im pięścią, ale nikt nie pokazuje skutecznych zasad ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków z Niemcami i Rosją – fundamentów, na jakich chcemy je oprzeć; nikt nie mówi o budowaniu polskiej siły, o tym jak reformować i modernizować armię, czy też jak prowadzić dobrą politykę monetarną. Wiele za to emocji budzi to, kto i dlaczego się "przetransferował". Nie ma jasnej koncepcji angażowania w polskie interesy Polonii świata, za to na zawołanie realizujemy cudze zalecenia – jak choćby szczujemy na "antysystemowego" Łukaszenkę, choć bardziej opłacałoby się nam prowadzenie wobec niego niezależnej polskiej polityki, którą być może moglibyśmy coś ugrać wobec Rosji, poprawić położenie mieszkających na Białorusi Polaków i otworzyć dla polskiego biznesu tamten rynek zbytu.

Nikt w opozycji nie występuje też z żądaniem postawienia przed Trybunałem Stanu osób

odpowiedzialnych za rażące błędy polityczne najwyraźniej inspirowane przez wraże siły; nikt nie wysunął oczywistego postulatu szybkiego ukarania osób odpowiedzialnych za przygotowanie wizyty śp. prezydenta Kaczyńskiego w Katyniu.

Po prostu nie ma komu zawalczyć o Polskę i nie widać, by Polacy byli taką walką zainteresowani. Oznacza to ni mniej, ni więcej tylko, że nie chce się nam mieć państwa z prawdziwego zdarzenia, przyzwyczailiśmy się do atrapy i chodzi tylko o to, by nie była ona zbyt uciążliwa; aby to lubujące się w podatkach, zbiurokratyzowane, opresyjne i udawane "państwo", które "nie jest w stanie od 10 lat wybudować dwóch autostrad" (za Hitlera budowano w Niemczech 1000 km autostrad rocznie), nie wchodziło nam zanadto z butami do łóżka. Chodzi o to, byśmy na poziomie gminy czy powiatu zdołali jak najwięcej od tego "państwa" uzyskać, tak aby podnieść standard materialny. Czyli nadal "my" i "oni".

No i może właśnie tak ma być – może cała reszta to mrzonki i nie trzeba podejmować beznadziejnych prób osiedlenia, gdy mamy pod sobą dojną krowę.

\*\*\*

## **Realny radykalizm**

Jedną z najważniejszych kategorii myślenia politycznego jest realizm. Nie jest to łatwe, bo do tego, aby myśleć "realnie", często nie mamy informacji; te, którymi dysponujemy, bywają przestarzałe lub oparte na dawnych stereotypach czy "wrzutkach". Wiele osób w Polsce ocenia/oceniało na przykład politykę – powiedzmy Stanów Zjednoczonych - kategoriami z lat 80. ubiegłego wieku.

Realizm polityczny to przede wszystkim wskazanie celów możliwych do uzyskania w krótkim czasie. Oczywiście każdy realista powinien też mieć wizję strategiczną, a co najważniejsze – wiedzieć, z czego gotów jest zrezygnować – gdzie może szukać kompromisu, a gdzie musi iść na wojnę.

Nie są to jakieś straszne mądrości, lecz proste zasady działania, którymi z powodzeniem można się posługiwać także indywidualnie.

Zakładając zatem, że wszystkim nam zależy na bogatej, sprawiedliwej, dobrze rządzonej Polsce (a znam wielu Polaków, którzy taką Polskę mają w nosie), pomyślmy, gdzie stoimy i co w obecnej sytuacji możemy ugrać; co pozostało z instytucji państwowych Polski i jak te resztki wykorzystywać do poszerzenia suwerenności.

A więc: – jaka forma suwerenności nas interesuje (np. nad czym państwo polskie musi mieć kontrolę, a w czym kontrolę może sobie odpuścić?); jaki stopień podporządkowania polskich instytucji instytucjom nadnarodowym jesteśmy w stanie akceptować?; jak chcemy finansować politykę polską?; jak ograniczyć finansowe wpływy silnych lobby?; jakie siły zbrojne uznać za konieczne?; jak kształtować własną politykę monetarną? itd. itp.

Ciekawe, że choć w Polsce jest wciąż wielu rodaków zainteresowanych posiadaniem silnego państwa, to nie ma siły politycznej, która w czytelnym programie odpowiadałaby na te wszystkie pytania. A grunt pali się pod nogami, rozbiór państwa polskiego postępuje szybko, a sytuacja międzynarodowa jest niepewna. Słowem, jeśli ktoś chce działać, a nie jedynie udawać, musi to robić szybko i zdecydowanie; musi już dzisiaj mobilizować potencjalnych zwolenników i jak najszerzej kanalizować rosnące niezadowolenie społeczne.

Niezadowolenie to można przecież przekierować zmyślną manipulacją, co wiedzą wszyscy ci, którzy

bronią obecnego złodziejskiego porządku. Obóz – nazwijmy go – “patriotyczny” nie powinien więc zakładać, że “niezadowoleni” go poprą. Nie muszą. I dlatego realista pracuje, by jednak takie poparcie zyskać. Jak? Jak się da!

Patrząc praktycznie – prócz Telewizji “Trwam” i Radia “Maryja” – nie ma w Polsce wpływowych, niezależnych od systemu środków przekazu. Nie jest to jednak problem nie do przeskokowania. Trzeba tylko pomyśleć.

Po pierwsze zaś, stworzyć CZYTELNE, krótkie założenia programowe, które przedstawią w punktach, co chcemy robić.

Słowem, jeśli nie ma się do dyspozycji tuby przekazywanych, trzeba być partyzantem – i to również pod względem propagandy – strzelać celnie, oszczędzając amunicji. A zatem zanim zaśpiewamy Rotę i rozwiniemy proporce, odwołując się do całej symboliki bogoojczyźnianej – potrzebne są konkrety Jakże?

No na przykład takie:

1. bezterminowe odsunięcie przystąpienia do strefy euro;
2. zakaz innych niż złotówkowe transakcje na terenie Polski – w tym udzielania kredytów w innej walucie niż polska;
3. odzyskanie sektora bankowego poprzez częściową renacjonalizację. – Całkowicie prywatne mogą być tylko banki inwestycyjne, banki oferujące konta dla ludności muszą być polskie – udział kapitału polskiego na poziomie co najmniej 51 proc.;
4. wprowadzenie obowiązkowego szkolenia wojskowego dla wszystkich zdrowych mężczyzn 18-30 lat, w miejscu zamieszkania – obsługa broni osobistej oraz ręcznej broni przeciwpancernej, lotniczej, budowa prostych ładunków wybuchowych;
5. licząc się z kłopotami w finansowaniu zadłużenia na rynkach zagranicznych, zapowiedź rozpisania powszechnej pożyczki narodowej na budowę suwerennej Polski – w papierach pożyczki płacono by część zobowiązań skarbu państwa;
6. nacjonalizacja bogactw naturalnych...

I tak dalej!

Program ma być czytelny, konkretny i radykalnie odbiegający od dzisiejszego bełkotu polityki. Musi porwać ludzi, przedstawiając jasną wizję odbudowy Polski. To musi być nasza biało-czerwona “książeczka”. Jeśli taki dokument nie powstanie przed najbliższymi wyborami, to znaczy, że nie ma środowiska politycznego, któremu na Polsce realnie zależy, są tylko wentyle bezpieczeństwa istniejącego układu władzy. A likwidacja tego układu jest koniecznym warunkiem budowy suwerennego, dostatniego państwa.

To po pierwsze.

Po drugie, trzeba sięgnąć po niestandardowe metody przekazu, gdzie tylko się da i jak tylko się da. Internet, Twitter, informacje na komórki... Ale też zwykłe ulotkowanie – naklejki na samochody, rozdawanie ulotek na lotniskach, dworcach kolejowych – nieważne legalnie czy nie. Dziś, aby wygrać, trzeba działać metodami ignorującymi przepisy stanowiące przez układ. Jak?

Są metody. Ruch musi być dwuczłonowy. Oficjalna część całkowicie legalna i szanująca tzw. porządek prawny, a druga radykalna, teoretycznie całkowicie niezwiązana z pierwszą, ale wspierająca wszystkie cele. No i do tego silna propaganda narodowa wśród młodzieży i wojska; pozyskiwanie kadry oficerskiej.

Najważniejsze zaś, aby chciało się chcieć – czyli by rozbudzić wśród milionów Polaków ochotę na suwerenne państwo polskie – ochotę jak na razie skutecznie obrzydzaną przez układ zbudowany pod koniec PRL-u przez młodych komuchów i ich wywiadowców.



Świat zaczyna się palić. Polacy powinni być gotowi.

\*\*\*

## **Można palić Londyn – Andrzej Kumor**

Mimo woli – bo nikt nas o zdanie nie pyta – jesteśmy świadkami przebudowy społecznej, która rywalizować może rozmachem tak z projektem bolszewickim, jak i hitlerowskim. Mimo utopionych we krwi dotychczasowych prób poprawiania Pana Boga, człowiek nie rezygnuje z pychy. Część zmian społecznych wymuszona jest przez technologię, rozwój transportu, komunikacji i łączności, większość jednak to wymysł “inżynierów” społecznych, knujących już od czasów, kiedy maszyna parowa dała im poczucie wielkiej mocy.

Architektura nowego projektu uwzględnia doświadczenia poprzednich, dlatego zakłada zmiany w języku (jak to już dawno temu praktykowali bolszewicy), rozbicie tradycyjnej rodziny i innych środowisk podważających autorytet kierowników nowej manipulacji, uzależnienie człowieka od wielkich struktur korporacyjnych lub państwowych i pozbawienie go możliwości zarabiania poza nimi, zniesienie starych tabu obyczajowych w celu zwiększenie siły działania prostych bodźców manipulacyjnych (seks, próżność, chciwość), zaostrenie kontroli nad tym, co ludzie myślą, mówią i jak na siebie oddziałują. Nowa manipulacja, podobnie jak poprzednie próby tworzenia nowego człowieka i nowego społeczeństwa, posługuje się zręcznie kulturą masową. Tresowane małe telewizyjne mają młodym ludziom narzucić wzorce tego, co jest “cool”, i tego co należy kojarzyć z “obciachem”.

Mamy więc do czynienia z całościowym globalnym atakiem na tradycję; z odebraniem możliwości mówienia o wytypowanych problemach społecznych – na co nie pozwala dyktat politycznej poprawności, mamy podważanie tradycyjnej rodziny, autorytetu ojca, poprzez podważenie sensowności pozostawania w jednym związku na dłużej oraz przededefiniowanie pojęć małżeństwa i rodziny; mamy wreszcie rozsadzanie tradycyjnych powiązań społecznych – narodowych, religijnych, poprzez dyktat tzw. wielokulturowości; wbrew ładnie brzmiącym nazwom chodzi o to, by najpierw rozbić narodową wspólnotę państwa, a następnie w drugim – trzecim pokoleniu porozbijać wspólnoty etniczne. Tego rodzaju wymieszanie pozwoli na osłabienie wpływów starych hierarchii wartości i zwiększenie podatności młodego pokolenia na oddziaływanie propagandy.

Tych elementów “podgryzania” starego porządku jest więcej i są one nastawione na wielopokoleniowe działanie. Nowy Rzym nie ma być zbudowany od razu.

O co w tym wszystkim chodzi? Wielcy mistrzowie nowego porządku tłumaczą, że idzie o stworzenie stabilnego globalnego społeczeństwa Ziemi, zarządzanego “racjonalnie” z jednego ośrodka poprzez sieć centrów regionalnych, ośrodka stabilizującego ludzkość poprzez jedną walutę, “racjonalny” podział bogactw naturalnych i dostępu do dóbr rzadkich, a także ulepienie jednej ponadnarodowej elity. Narody, patriotyzm, ojczyzna, lojalność wobec niej traktowane są jako przeżytek zrodzony w XIX wieku przez emancypujące się z wpływów arystokracji mieszczaństwo. Projekt globalizacyjny jest próbą odgórnego “uzgodnienia” nowego podziału zadań i roli ludzi i środowisk. Projekt ten zakłada zreformowanie i zmianę charakteru Kościołów i wyeliminowanie jakichkolwiek silnych lojalności, poza silnie rozbudowaną lojalnością wobec systemu jako takiego. Zdaniem pomysłodawców, jedynie w ten sposób można zbudować (s)pokój i uniknąć rozlewu krwi podobnego do tych, jakie miały miejsce podczas XX-wiecznych wojen, a przy okazji zagwarantować nieograniczoną władzę “lepszym i mądrzejszym”.



Mamy więc wizję piramidy społecznej zarządzanej przez wszechwiedzącą i wszystko kontrolującą elitę; mamy "masy" (bydło?), których antysystemowa i autodestrukcyjna agresja zostanie opanowana przez wychowanie, manipulację językiem i skanalizowana w akceptowane przez system procesy; mamy wizję Nowego Jeruzalem, zbudowanego bez Boga przez samych ludzi.

Oczywiście, obecny projekt zakończy się tak samo jak wszystkie poprzednie. Początki końca widać już dzisiaj gołym okiem; widać w Wielkiej Brytanii, widać w Stanach Zjednoczonych, widać we frustracji młodych ludzi. System się sypie, globalna rewolucja krztusi własną głupotą. "Bolszewicy" mają jednak to do siebie, że nie przyjmują do wiadomości realiów – jeśli rzeczywistość nie pasuje do teorii – tym gorzej dla rzeczywistości.

Nie można więc wykluczyć, że po okresie łagodnej perswazji przyjdzie pora na bardziej nieprzyjemne środki kontroli i przymusu; przyjdzie czas sznurowania nakładanego dziś gorsetu. Wskazują na to instalowane coraz powszechniej środki kontroli tłumów i inwigilacji. Wydarzenia jak te w miastach Wielkiej Brytanii ułatwią przyjęcie tych metod przez większość – wytworzą społeczne przyzwolenie – jak "wojna z terroryzmem" stworzyła społeczne przyzwolenie na bezprecedensowy regres swobód obywatelskich i zwiększenie uprawnień systemu bezpieczeństwa państwowego. Autorzy globalizacji zakładają wstrząsy – wiedzą, że realizacja ich planu będzie napotykać trudności, m.in. ze strony tradycyjnych źródeł autorytetu – dlatego usiłują przejąć Kościoły, skompromitować tradycję i wyeliminować kulturę tożsamościową.

Ich projekt zrodzony na łonie cywilizacji Zachodu zakłada również dokooptowanie i przekonanie doń elit z innych kultur i kontynentów – głównie elit Azji. To nie jest to łatwe i dlatego cały zamiar może się zakończyć wielką jatką.

Premier Wielkiej Brytanii zapewnia, że "rozbite społeczeństwo" będzie "jednym z jego priorytetów", problem w tym, że to społeczeństwo zostało rozbite umyślnie, przez kulturę masową minionych 3-4 dekad; przez "inżynierów", którzy są przekonani, że na gruzach starego porządku powoli wyłaniać się będzie nowy wspaniały świat. Dlatego można palić Londyn...

\*\*\*

## **Doktryna Breżniewa w NATO**

Interwencja wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 roku to przykład jawnego gwałtu – najazdu suwerennego (przynajmniej z nazwy) państwa w celu wymuszenia zmian wewnętrznych.

Właśnie mija rocznica tego zdarzenia i przy okazji można nabawić się dziwnych myśli.

Jeżeli rozejrzemy się po świecie dookoła to okaże się, że ukuta w tamtych czasach tzw. doktryna Breżniewa, dzisiaj nikogo już nie razi, przeciwnie stała się ogólnie akceptowalnym poglądem.

Leonid Breżniew uzasadniał oczywiście pogwałcenie norm prawa międzynarodowego twierdzeniem, że ustrój socjalistyczny w jednym kraju bloku nie jest wyłącznie sprawą tego kraju, ale wszystkich krajów socjalistycznych. Była to słabo zawołowana wykładnia imperializmu sowieckiego, w myśl której kraje socjalistyczne są na "przyjaźń radziecką" i budowę socjalizmu dożgonnie skazane. Dlatego napad na kraj, który chce zrezygnować z udziału w budowie świetlanej przyszłości to nie jest żadna agresja, lecz bratnia pomoc...

Przeciwko temu jawnemu bandytyzmowi protestowali przy użyciu drastycznej metody mnichów budyjskich Jan Palach a w Polsce Ryszard Siwiec. Każdy kto ma jako tako czysty choćby mały kawałek sumienia, widzi, że kiedy jedni napadają drugich to jest to niesprawiedliwość.

Dożyliśmy czasów, kiedy doktryna Breżniewa została doceniona i przejęta przez państwa NATO.

Przeżyła socjalizm, przeżyła Kraje Demokracji Ludowej i sekretarzy w przykuszonych garniturach pod postacią powszechnej aprobraty interwencji międzynarodowej. Pod pretekstem demokracji i praw człowieka napada się dzisiaj suwerenne państwa i żadnemu europejskiemu intelektualiście do głowy nie przyjdzie, by przeciwko tej jawnej przemocy i niesprawiedliwości protestować. Zło założyło piękne szaty.

Tymczasem w imię “demokracji” i “praw człowieka”, kosztem setek tysięcy istnień ludzkich rozwaliliśmy Irakijczykom dokumentnie ich kraj.

Pod takimi samymi pozorami rozwalamy Libię.

W tym ostatnim przypadku przykrywką do interwencji jest “ochrona ludności cywilnej”. Tu znów mam deja vu z PRL-u, gdzie od przedszkola wpajano do głowy, że Armia Czerwona nigdy nigdzie nie wkracza nieproszona zawsze też aby wziąć w obronę ludność cywilną... (takie było m.in. oficjalne uzasadnienie wejścia Sowieców do Polski 17 IX 1939 roku)

A więc w celu ochrony libijskich kobiet i dzieci Polska dostarczyła broń rachitycznej rebelii, Wielka Brytania udzieliła wsparcia wywiadowczego i logistycznego, USA wysłały tankowce powietrzne i Awacsy, Włochy, Kanada i Francja myśliwce bombardujące...

To wszystko w imię demokracji. Jak w starym dowcipie, że Armia Czerwona broni pokoju do ostatniego naboju; dzisiaj do ostatniego naboju NATO broni demokracji. Oczywiście NATO było do niedawna “sojuszem obronnym”. Zmiana charakteru sojuszu dokonana została ot tak bez ceregieli. No akurat taka była potrzeba chwili...

Nawet nikt za bardzo nie usiłuje usprawiedliwiać interwencji zbankrutowanej Europy w Libii. Ludzie są znieczuleni, przyzwyczaili się do głupot z telewizora, więc nie ma co gimnastykować mózgi propagandystów.

Dlatego agencja Reutersa donosiła we wtorek otwartym tekstem: Western powers, backing the disparate opposition to Gaddafi, moved ahead with plans to support a new administration with which they hope to exploit Libya's oil wealth; czyli mniej więcej : “Zachodnie mocarstwa wspierając rozproszoną opozycję wobec Kadafiego realizują plan poparcia dla nowej administracji, z którą mają nadzieję na eksploataowanie libijskiego bogactwa – ropy naftowej.

Pani z dziennika NBC – wyjaśniła, że pozytywnym skutkiem zdobycia Trypolisu będzie “zmniejszenie cen nafty” przez uruchomienie regularnych dostaw surowca z Libii.

Regularne dostawy z Libii płynęły bez przeszkód i za Kadafiego, no ale wtedy zarabiali nie ci, co trzeba.

I proszę mnie tutaj nie rozmieszać, że to dopiero teraz to “społeczeństwo libijskie” skorzysta z ropy. Libijski socjalizm islamski oznaczał m.in. całkiem sporą redystrybucję dochodów z ropy. Kadafi był ekscentrycznym mordercą i satrapą, ale uwierzył w rolę ojca narodu i jego libijskim “dzieciom” źle nie było.

Problem Kadafiego polegał, na tym, że pozostawał poza międzynarodowym obiegiem finansowym. Więc gdy tylko nadarzyła się okazja, “wsparcia libijskiej demokracji” i “praw libijskiego narodu do samostanowienia”, NATO wysłało bombowce...

Rachuby kierowników europejskich mogą jednak spalić na panewce, ponieważ nie jest jasne czy rebelianci będą w stanie stworzyć rząd i kontrolować teren. Może się więc wkrótce okazać że Libia jest kolejnym krajem rozwalonym przez doktrynę Breżniewa w jej nowej zachodniej interpretacji.

Jakoś tak się składa, że nasze pokolenie “ma szczęście” do niedokształconych polityków w krótkich

gatkach; po prostu z plasteliny wychowanej na studenckich rewoltach lat 60 i 70. mężów stanu nie ulepisz.

\*\*\*

*Ciąg dalszy nastąpi... (mam nadzieję :)*